

RUDYARD KIPLING

KIM

Rudyard Joseph Kipling

Kim

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23522634

Kim:

Аннотация

Kim to trzynastoletni chłopak, irlandzki sierota, który mieszka w Pakistanie. Utrzymuje się z żebrania i wykonywania drobnych prac, ale jest bardzo lubiany przez okoliczną ludność. Pewnego dnia do miasta przybywa stary tybetański lama, odbywający podróż w poszukiwaniu legendarnej rzeki, której woda obmywa z win. Kim zgadza się, by dołączyć do niego w tej wyprawie, zostaje jego uczniem, ale również przyjmuje polecenie dostarczenia listu od pewnego szpiega. Lama i Kim wyruszają w drogę. Okazuje się jednak, że przyniesie ona o wiele intensywniejsze doświadczenia, niż te, których się początkowo spodziewali... Kim to powieść autorstwa angielskiego pisarza Rudyarda Kiplinga, wydana w 1901 roku. Kipling zasłynął przede wszystkim jako autor Księgi dżungli, jego twórczość była kierowana głównie do młodzieży.

Содержание

Kim jest Kim?	4
Rozdział I	9
Rozdział II	51
Rozdział III	77
Rozdział IV	106
Конец ознакомительного фрагмента.	128

Rudyard Kipling

Kim

Kim jest Kim?

Zdawać by się mogło, że to kalambur – jakby jowialny Bengalczyk Hurree Babu, wyznawca filozofii Herberta Spencera, niesyt triumfów w „urzędowej” angielszczyźnie, nauczył się mówić po polsku i próbował u nas krzewić filozoficzne spekulacje. Tymczasem nie! Pytanie powyższe zadaje sobie raz po raz sam tytułowy bohater niniejszej powieści, młodociany Kimball O'Hara. Odpowiedzią zaś na to pytanie jest – cała książka.

Kimże jest więc *Kim*? Jest przede wszystkim – tak go najczęściej zwa – przyjacielem całego świata; zupełnie jak w znanej bajce Krasickiego:

bardzo go tam zwierzęta lubiły,
i on też używając wszystkiego z weselem
wszystkich był przyjacielem...

Kochają go wszyscy: i fakirzy spod Taksalskiej Bramy, i przekupki, i wieśniacy, kocha go stary wiarus, w którym chłopak ożywił wspomnienia wojenne, kocha Kamboh, któremu

on syna cudownie uzdrowił zwykłą chininą, kocha dobrotliwy ojciec Wiktor, kocha z głupia frant pułkownik Creighton, kocha (aż o to wybucha scena zazdrości) lekarz pereł Lurgan sahib i wspomniany hakim Hurree Babu, nie mówiąc już o innych, „cyfrowanych” tylko kolegach z tajemniczego „departamentu”. Kocha go kobieta z Kulu, choć mu wymyśla, kocha i kobieta z Shamlegh, choć poprzysięgła nienawiść sahibom (przyczyny tej nienawiści opowiedział Kipling w noweli *Lispeth w Gawędach spod Himalajów*). Kochały go i kochają nieprzeliczone rzesze czytającej publiczności, i to nie tylko angielskiej, wśród której rozeszły się już setki tysięcy egzemplarzy arcydzieła Kiplingowego – ale i polskiej, która niegdyś była zmuszona czytać tę powieść w najokropniejszym i najlichszym ze wszystkich tłumaczeń (niechże Kim wspaniałomyślnie przebaczy owym „tłumaczom”, jak lama Teshoo przebaczył bezbożnym cudzoziemcom, co go spoliczkowali!)... tłumaczeniu okrojonym i wypranym ze wszystkiego, co żywe, barwne i piękne. Ale najgorętszych, najwierniejszych przyjaciół miał Kim trzech: koniarza Mahbuba Alego, lamę Teshoo, a wreszcie – niżej podpisanego tłumacza.

Wyrażając się stylem nieco algebraicznym, można by powiedzieć, że trzy główne osoby powieści: Mahbub, Kim i lama, tworzą razem proporcję ciągłą; jak bowiem Mahbub umie na swoją korzyść obrócić nieświadomość Kima, tak też i Kim ze swej strony nieraz zręcznie wyzyskuje naiwność lamy. Ten *sui generis* „taniec czynowników” jest jednocześnie stopniowaniem

psychiki, dążeń i upodobań trzech wspomnianych osób: z jednej strony materialista-mahometanin, z drugiej idealista-buddyjczyk¹, pomiędzy zaś nimi, jak na rozdrożu, stoi mały Irlandczyk, któremu „i to pachnie i to nęci”. Nie dziwota, że niekiedy, nie rozumiejąc dobrze swej drogi zapyta sam siebie: „Kimże jest *Kim*?”. W tym założeniu należy, moim zdaniem, upatrywać główną oś architektoniczną tej iscie klasycznej powieści, głębszej i bardziej spoistej, niż się niejednemu zdaje. Piszę o tym dlatego, że w jednym dość pedantycznym (oczywiście niemieckim) studium o Kiplingu spotkałem twierdzenie, jakoby „Kim” był „niepowiązany w budowie”.

Świat „departamentu”, który stanowi jedną z głównych akcyj² niniejszej powieści, zajmował nieraz autora „Departmental Ditties”, co więcej, był jednym z wielu jego *discoveries* (odkryć) literackich, tak jak było nim kiedy indziej odkrycie poezji życia koszarowego. Dał on autorowi możliwość wskrzeszenia i istotnego ożywienia obumarłych pono³ (tak mówili krytycy) przeżytych i rzekomo nieprawdopodobnych „sposobów” cechujących dawną komedię, jak: *qui pro quo*, podsłuchiwanie cudzych tajemnic, przebieranie się za inną osobę itd.; arcyrealista Kipling dowiódł, że te właśnie, tak od czasów realizmu potępiane, szczegóły mogą być najzupełniej realne, ba, doniosłe w skutkach, oddziałujące

¹ *buddyjczyk* – dziś: buddysta. [przypis edytorski]

² *akcyj* – dziś forma D.lm: akcji. [przypis edytorski]

³ *pono* (daw.) – podobno. [przypis edytorski]

na los całych państw i narodów. Ponadto właśnie dzięki nim można realniej i dokładniej niż jakąkolwiek inną drogą poznać krajobraz, życie i obyczaje niemal całych Indii.

To zwiedzanie Indii – owa „droga zbawienia” najczęściej mimo woli współmierna z drogą ponęt doczesnych – stanowi drugą główną akcję *Kima*. Drogą tą kroczą dwaj ludzie – jeden do tańca, drugi do różańca – którzy kontrastem swoich charakterów i upodobań przypominają nieco kontrast Don Kiszota i Sanczo Pansy; tylko gdy w romansie Cervantesa giermek-wyjadacz jest opasły i niezgrabny, a męstwem nie grzesząc, panu swojemu rzemiosło rycerskie zostawuje⁴, to „chela” tybetańskiego lamy-marzyciela jest smukły, piękny i zwinny, a znakiem jego jest konstelacja wojny.

Nie opowiedział Kipling dalszego ciągu żywota Kima; ale i to, co jest, powinno nam wystarczyć. Nawet bez stawiania horoskopów, za przykładem kapłana z Umballi możemy odgadnąć, jaki będzie dalszy bieg życia tego złotego chłopaka, przedzierzgniętego w mężczyznę. Pozostanie on nadal chłopakiem, bo Kipling obdarzył go wiekuistą młodością; jeżeli skończy – to wysoko. Co ma wisieć, nie utonie... a nad Kima nie było większego wisusa i urwisa; w tym zresztą nadzieja, że urwałby się i z szubienicy. Oto druga odpowiedź na pytanie: „Kim jest *Kim*?”.

Inne odpowiedzi są już zgoła zbyteczne. Tak więc na przykład bez rozstrzygnięcia pozostawimy kwestię, czy był on istotnie

⁴ *zostawuje* (daw.) – dziś popr. forma 3 os.lp: *zostawia*. [przypis edytorski]

siostrzeńcem owej nałogowej palaczki opium, czy był sahibem, czy synem Wschodu; niech się nad tym głowią czytelnicy – może ich to zmusi do uważniejszego przeczytania powieści.

Zanim ją oddam do przeczytania, winienem wpierw wyjaśnić rzecz jedną. Powiedziałem powyżej, że prócz Mahbuba i lamy miał Kim jeszcze trzeciego przyjaciela – we mnie. Poznałem się z Kimem na ławie szkolnej, w szkole wielce podobnej do konwiku w Lucknow; było to wówczas, gdy pospołu z nim poznawałem „język sahibów” – angielszczyznę; później tułaliśmy się razem po Azji... toteż tłumacząc powieść o tym moim kamracie, przeżywałem na jawie jego przygody, przejmowałem się z całej duszy jego zamiarami, współczułem do głębi wszystkim jego radościom i smutkom. Rzec o sobie mogę, żem się zżył i zrosł z tą arcypowieścią Kiplingową, której artyzm i bogactwo chcąc ocenić, trzeba by ją czytać w oryginale. Jej tłumaczenie jest w stosunku do oryginału czymś w rodzaju owej *Game of Pearls*, jaką zabawiał się Kim z małym Hindusem u Lurgana sahiba; mały Hindus zawsze większym był mistrzem... Starłem się jednak nie przeoczyć żadnego z klejnotów poezji Kiplingowej – w tym celu przełożyłem i wszystkie wiersze, które dawniejsi tłumacze Kiplinga zwykli byli wyrzucać kędyś na śmietnik shamlegghski, odejmując wielkiemu poecie to, co w nim najistotniejsze. Czy mój przekład „zdobędzie sobie zasługę” (mówiąc stylem lamy Teshoo) – osądzą czytelnicy.

Józef Birkenmajer

Rozdział I

*Wy, coście Wąską Drogą nieprzerwanie
Szli do Dnia Sądu przez piekiel otchłanie,
Wybaczcież, kiedy modlą się poganie
Do swego Buddy w Kamakurze!*

Lekceważąc sobie rozporządzenia zwierzchności miejskiej, siedział okrakiem na armacie Zam-Zammah, co stała na ceglanym cokole na wprost starego Ajaib-Gher – Domu Cudów, jak lahorskie muzeum nazywają krajowcy. Kto dzierży Zam-Zammah, owego „smoka zionącego ogniem”, jest tym samym władcą Pendżabu, gdyż to wielkie działo z pośniedziałego spiżu zawsze pierwsze bywa łupem zdobywcy.

Poniekąd Kima można było usprawiedliwić (zepchnął z lawety armatniej syna Lali Dinanatha): wszak w Pendżabie panowali Anglicy, a Kim był Anglikiem. Wprawdzie miał cerę ogorzałą, jak każdy z tuziemców; wprawdzie w rozmowie oddawał pierwszeństwo gwarze miejscowej, a znajomość języka ojczystego zdradzał jeno urywkowym, niepewnym paplaniem; wprawdzie na prawach zupełnej równości bratał się z małymi andrusami⁵; mimo to Kim był człowiekiem białym, choć białość jego była wielce ubożuchna i skromna. Kobieta mieszanej

⁵ andrus – łobuziak, psotnik. [przypis edytorski]

rasy, opiekująca się nim (była namiętą palaczką opium i ponoć miała skład używanych gratów na placu, gdzie postój dorożek), opowiadała misjonarzom, że jest ciotką Kima; w istocie matka jego była niańką w domu pewnego pułkownika i poślubiła Kimballa O'Hare, młodego chorążego irlandzkiego pułku Mavericków. Ów objął następnie posadę na kolei Sind-Pendżab-Delhi, a pułk bez niego powrócił do kraju. Gdy żona zmarła w Ferozepore na cholere, O'Hara rozpił się i jął zbijać baki, wałęsając się wzdłuż linii kolejowej z trzyletnim bystrookim berbeciem. Księża oraz członkowie różnych stowarzyszeń religijnych starali się go pochwycić w obawie o los dziecka, lecz O'Hara wymykał się im, aż poznał się z kobietą, która paliła opium; przejąwszy się od niej tym nałogiem, zmarł tak, jak umierają w Indiach nędzarze z rasy białej.

W chwili śmierci całe jego mienie stanowiły trzy dokumenty: pierwszy nazwał on *ne varietur*, gdyż te słowa były tam umieszczone pod jego podpisem, drugim było świadectwo zwolnienia ze służby wojskowej, trzecim zaś – metryka Kima. Te szpargały (mawiał w chwilach, gdy przebrał miarę w opium) powinny były wykierować kiedyś małego Kimballa na wielkiego człowieka. Kimowi pod żadnym warunkiem nie wolno było rozstawać się z nimi, gdyż wchodziły one w skład wielkich czarów... takich czarów, jakie odbywają się tam z przeciwka, za muzeum, w wielkim biało-niebieskim Jadoo-Gher – Domu Czarnoksięskim, jak u nas zwą lożę masońską. Pewnego dnia (powiadał) wszystko na dobre się

obróci i sława Kima rozbrzmiewać będzie wśród kolumn... straszliwych kolumn – piękna i siły. Sam pułkownik, jadąc konno na czele pułku, najlepszego w świecie, pójdzie za Kimem, małym Kimem, któremu w udziale przypadnie lepszy los niż jego ojcu. Dziewięciuset chłopów na schwał, istnych diabłów, których bożyszczem był Ryży Byk w zielonym polu, pójdzie za Kimem... o ile tylko nie zapomnieli O'Hary – biednego O'Hary, który był nadzorcą robotników na kolei w Ferozepore. Potem popłakiwał gorzko, siedząc w połamanym krześle trzcinowym na werandzie... Stąd to poszło, że po jego śmierci kobieta zaszyła pergamin, zaświadczenie i metrykę w skórzaną sakiewkę z amuletami i zawiesiła ją Kimowi na szyi.

– A któregoś dnia – mówiła, wspominając jak przez mgłę przepowiednie O'Hary – przyjdzie po ciebie wielki Ryży Byk w zielonym polu i pułkownik jadący na okazałym wierzchowcu... tak... i – tu wpadła w angielszczyznę – dziewięciuset diabłów.

– O! – odpowiadał Kim – będę pamiętał. Przyjdzie i Ryży Byk, i pułkownik na koniu, ale wprzód, jak mówił ojciec, mają przyjść jeszcze dwaj ludzie, którzy przysposobią grunt do tej całej sprawy. Ojciec gadał, że oni zawsze robią w ten sposób i że zawsze tak bywa, gdy mają się odbywać czary.

Gdyby kobieta wyprawiła Kima z owymi dokumentami do miejscowego Jadoo-Gher, loża prowincji przyjęłaby go niewątpliwie i odesłała do masońskiej ochronki w Pogórze; atoli baba nie miała zaufania do tego, co słyszała o czarnoksięstwie, a i Kim miał też samodzielne poglądy. Skoro dorósł do lat

zielonej młodości, nauczył się unikać misjonarzy i białych ludzi o surowych obliczach, którzy go pytali, kto zacz i czym się trudni. Albowiem Kim trudnił się tylko nieróbstwem – w czym powodziło mu się doskonale. Prawda, że znał jak własną kieszeń przepysznie obwarowany gród Lahory, od bramy delhijskiej do fosy fortecznej, żył za pan brat z ludźmi, którzy wiedli życie osobliwsze, niżby się śnić mogło samemu Harun al Raszydowi, a sam też pędził żywot niesforny, niby z *Tysiąca i jednej nocy* – lecz misjonarze i sekretarze towarzystw dobroczynnych nie poznawali się na piękności jego żywota.

Załoga nadała mu żartobliwy przydomek „Małego Przyjaciela całego świata”, a ponieważ był zręczny i niepozorny, więc często nocą przekradał się po ludnych dachach domów, spełniając polecenia wymuskanych i urodziwych młokosów eleganckiego świata. Były to oczywiście intrygi miłosne – on wiedział o tym, gdyż odkąd nauczył się mówić, znane mu były wszelkie grzeszki, ale kochał tylko grę dla gry samej, przemykanie się chyłkiem po mrocznych uliczkach i zakamarkach, wydrapywanie się po rynnie, spostrzeżenia i odgłosy z kobiecych pogwarek na płaskich dachach domów i ucieczkę na łeb na szyję z gzymsu na gzyms pod osłoną parnej pomroki. Koło ceglanych kapliczek pod drzewami nadrzecznymi przebywali mężowie świątobliwi, pomazani popiołem fakirowie, z którymi był na stopie nader poufalej; pozdrawiał ich, gdy wracali z włóczędzy po prośbie, a gdy nikogo nie było w pobliżu, jadał wespół z nimi z jednej misy. Jego opiekunka ze

łzami w oczach nalegała, by nosił odzież europejską: spodnie, koszulę i wymięty kapelusz. Kimowi jednak, gdy zajęty był pewnymi sprawkami, bardziej dogadzało przebieranie się w strój hinduski lub mahometański. Jeden z młodych wykwintnisiów (ten, którego zwłoki znaleziono na dnie studni w ową noc, gdy było trzęsienie ziemi) podarował mu całkowite ubranie chłopięce, jakie noszą łobuziaki z niższych kast; Kim ukrył je w tajnym schowku pod belkami na dziedzińcu tracza⁶ Nila Rama, naprzeciwko Wysokiego Trybunału pendzabskiego, gdzie wonne pnie deodarów⁷ spławiane rzeką Ravee leżą, czekając obróbki. Ilekroć nawinał się interes lub swawolna łązega, Kim nie omieszkiał skorzystać ze swej własności, o świcie zaś powracał na werandę, wyczerpany darcie się wniebogłosy za orszakami ślubnym lub wyciem na uroczystościach hinduskich. W domu niekiedy trafiło się jadło, ale częściej się zdarzało, że nie było co do ust włożyć; wówczas Kim szedł na wyżerkę do przyjaznych mu krajowców.

Bębniąc piętami po bokach Zam-Zammah, raz po raz odrywał się od gry w „króla zamczyska” z małym Chota Lalem i Abdullahem, synem cukiernika, i rzucał niewybredne docinki w stronę krajowca-policjanta, który stał na straży rzędów obuwia koło bramy muzeum. Sążnisty⁸ Pendzabczyk pobłażliwie

⁶ *tracz* – robotnik zajmujący się piłowaniem kłód drzewa za pomocą ręcznej piły. [przypis edytorski]

⁷ *deodar* – gatunek cedru. [przypis redakcyjny]

⁸ *sążnisty* – ogromny, potężny, wysoki; *sążeń*: daw. miara długości wynosząca w

szczyrzył zęby – znał on już Kima od dawna. W tenże sposób odnosił się do niego i polewacz zraszający zapyloną ulicę wodą z bukłaka z koziej skóry. Tak samo ustosunkował się doń pochylony nad świeżo sporządzonymi skrzyniami Jawihr Singh, co w muzeum był stolarzem; słowem, tak postępował wobec Kima każdy, kto się tu pojawił, z wyjątkiem chłopów okolicznych, spieszących do Domu Cudów celem obejrzenia przedmiotów wyrabianych w ich macierzystej prowincji lub gdzie indziej. Muzeum zawierało okazy sztuki i przemysłu indyjskiego, a kto chciał być tu mądry, mógł poprosić kustosza o objaśnienia.

– Wynocha! Wynocha! Puść mnie na górę! – krzyczał Abdullah, wdrapując się na koło armaty.

– Twój ojciec był cukiernikiem, twoja matka ukradła *ghi*! – zaśpiewał Kim. – Wszyscy muzułmanie już dawno pospadali z Zam-Zammah!

– Więc puść *mnie* na górę! – pisał mały Chota Lal, ubrany w czapeczkę obrębianą szychem⁹. Jego ojca ceniono na jakie pół miliona szterlingów, ale Indie są jedynym w świecie krajem demokratycznym.

– Hindusi też stracili Zam-Zammah. Wyparli ich muzułmanie. Twój ojciec był cukiernikiem!...

Naraz przerwał śpiewkę. Zza węgła, od strony gwarnego

różnych okresach i różnych krajach od 176 do 2,15 m. [przypis edytorski]

⁹ *szych* – nitka owinięta drucikiem (daw. złotym a. srebrnym), używana do haftów i wyrobów pasmanteryjnych. [przypis edytorski]

Bazaru Motee, wysunął się człowiek, jakiego Kim dotąd jeszcze nie widział, choć mu się zdawało, że zna wszelkie kasty. Człowiek ów był wysoki prawie na sześć stóp¹⁰, ubrany w fałdzistą szatę z materiału burego niby derka końska, a żadnego z jej zmarszczeń Kim nie potrafił przypodobnić¹¹ do jakiegokolwiek znanego mu zatrudnienia lub zawodu... U pasa przybysza zwisał podłużny, inkrustowany piórnik żelazny i drewniany różaniec, jaki noszą ludzie świątobliwi. Głowę osłaniał olbrzymich rozmiarów płócienny kapelusz, zapadający na oczy. Twarz była żółta i pomarszczona, podobnie jak u Chińczyka Fook-Shinga, szewca na rynku. Oczy w kącikach zakrzywiały się ku górze i wyglądały jak małe żyłki oniksu.

– Kto to? – ozwał się Kim do rówieśników.

– Chyba jakiś człowiek! – rzekł Abdullah, trzymając palec w gębie i wytrzeszczywszy oczy.

– Jużci¹²! – odparł Kim – ale takiego człowieka to jeszcze w Indiach nie zdarzyło mi się widzieć.

– Może kapłan – rzekł Chota Lal, przypatrując się różańcowi.
– Patrzcie, on idzie do Domu Cudów!

– Nie, nie! – mówił policjant, potrząsając głową – nie rozumiem waszej mowy! – (sam stróż bezpieczeństwa mówił po pendżabsku). – Hej, Przyjacielu całego świata, co on tam szwargocze?

¹⁰ stopa – miara długości, równa ok. 30,5 cm. [przypis edytorski]

¹¹ przypodobnić – tu: dopasować. [przypis edytorski]

¹² jużci a. juści (gw.) – pewnie, oczywiście. [przypis edytorski]

– Przyślij go tu! – zawołał Kim i dał susa z Zam-Zammah, wymachując bosymi piętami. – To cudzoziemiec, a z ciebie jest istny bawół!

Przybysz, nie mogąc się dogadać, ruszył ku chłopcom. Był to człek już leciwy, a jego wełniana opończa trąciła jeszcze przykrym zapachem bylicy rosnącej w przesmykach górskich.

– Hej, dzieci, co to za wielki dom? – ozwał się płynnie narzeczem Urdu.

– Ajaib-Gher, Dom Cudów! – Kim nie obdarzył nieznajomego tytułem w rodzaju Lala lub Mian; nie mógł odgadnąć, jakiego wyznania był ten człowiek.

– Aha! Dom Cudów! Czy można wejść?

– Nad drzwiami napisano... każdemu wolno.

– Bezpłatnie?

– Ja tam bywam raz po raz, a nie jestem przecie bankierem – zaśmiał się Kim.

– Niestety, jestem stary; nie wiedziałem – przesunął palcami po paciorkach różańca i zawrócił ku muzeum.

– Z jakiej jesteście kasty? Gdzie wasz dom? Czy dalekoście chadzali? – zapytał Kim.

– Idę z Kulu... z tamtej strony Kailasu... lecz cóż ty możesz wiedzieć?... od tych gór, gdzie – (tu westchnął) – powietrze i woda są świeże i chłodne.

– Aha! Khtai! (Chińczyk) – rzekł Abdullah wyniośle. Fook Shing wygnał go raz ze sklepu za to, że opluł bożka stojącego nad rzędami obuwia.

– Pahari (góral) – rzekł mały Chota Lal.

– Tak jest, dziecko... góral z gór, jakich nigdy nie obaczysz w życiu. Czy słyszałeś o Bhotiyalu (Tybecie)? Nie jestem Khitai, lecz Bhotiya (Tybetańczykiem) musiałeś słyszeć... jestem lama, czyli *guru* (duchowny), jak się mówi po waszemu.

– *Guru* z Tybetu! – rzekł Kim. – Nie widziałem jeszcze takiego człowieka! Więc w Tybecie są Hindusi?

– Jesteśmy z tych, co kroczą Drogą Pośrednią, i żyjemy spokojnie po klasztorach, ja zaś chciałbym przed śmiercią zwiedzić cztery miejsca święte. Teraz wy, którzy jesteście dziećmi, wiecie tyle samo, co ja stary.

Uśmiechnął się życzliwie do chłopców.

– Czy jadłeś co?

Pogmerał w zanadrzu i dobył stamtąd wyszczerbioną, drewnianą miseczkę dziadowską. Chłopcy skinęli głową. Wszyscy znajomi im kapłani chodzili na żebrzy.

– Jeszcze mi się jeść nie chce – rzekł, odwracając głowę niby stary zółw grzejący się na słońcu. – Czy to prawda, że w Domu Cudów w Lahorze znajduje się wiele obrazów? – ostatnie słowa powtórzył, jakby chcąc sprawdzić adres.

– To prawda – rzekł Abdullah – Pełno tam pogańskich wizerunków. Ty również jesteś bałwochwalcą.

– Nie zważaj na to, co *on* bajdurzy! – rzekł Kim. – To dom rządowy i nie ma tam żadnego bałwochwalstwa, tylko sahib (Europejczyk) z siwą brodą. Chodź ze mną, to ci pokażę.

– Cudzoziemscy kapłani zjadają dzieci – szepnął Chota Lal.

– A on jest cudzoziemcem i *but-parast* (bałwochwalcą)! – rzekł mahometanin Abdullah.

Kim roześmiał się.

– To ci frajer! Uciekajcie schować się za mamusin fartuszek, pędraki! Chodź za mną!

To mówiąc, przepchnął się przez drzwi kołowrotowe; starzec poszedł za nim i zatrzymał się w osłupieniu. W przedsionku stały większych rozmiarów posągi grecko-buddyjskie, wykonane (uczonym tylko wiadomo, kiedy) przez zapomnianych mistrzów, których dłonie nie bez zręczności starały się oddać wdzięki sztuki greckiej, co zawitała tu sposobem jakimś niedocieczonym. Znajdowały się tam setki obrazów: fryzy pełne płaskorzeźb, ułamki posągów i tafle marmurowe okryte deseniem, które niegdyś przyozdabiały ceglane mury buddyjskich *stupa* i *vihara* na północy, a obecnie wykopane z ziemi i opatrzone napisami stanowiły chlubę muzeum. Lama, rozdziawiwszy usta z podziwu, rozglądał się na wszystkie strony, aż na koniec z pełną zachwytu uwagą zatrzymał się przed sporą wypukłorzeźbą, przedstawiającą koronację czy apoteozę Buddy Pana. Mistrz wyobrażony był w postawie siedzącej, na lotosie, którego płatki były tak głęboko wcięte, że wydawały się nieomal oderwane. Dokoła niego w kornym uwielbieniu stała cała hierarchia królów, dostojników i staroświeckich Buddów; poniżej widać było wodę lotosami porośłą, pełną ryb i ptactwa wodnego. Dwa bóstwa o motylach skrzydłach trzymały wieniec nad jego głową; ponad nimi druga

para dźwigała baldachim, na którego szczycie wznosiła się wysadzana klejnotami mitra Bodhisata.

– Pan! Pan! To sam Sakya Muni! – zawołał lama, na wpół szlochając, i zaczął półgłosem mruczeć przedziwne zaklęcia buddyjskie:

Ku niemu droga – do prawd – w ustronie —
Którego Maya nosiła w swym łonie,
On pan Anandy – Bodhisat!

– I on jest tutaj! Najwznioślejsze Prawo jest również tutaj! Pielgrzymka moja dobrze się zaczęła... I co za dzieło! Co za dzieło!

– Sahib jest po tamtej stronie – rzekł Kim i dał nura w bok pomiędzy szafami pawilonu sztuki i rękodzieł. Siwobrody Anglik już od dłuższej chwili przyglądał się lamie, który odwrócił się uroczyście i oddał mu pokłon, po czym pogmerawszy przez chwilę w zanadrzu wydobył notatnik i świstek papieru.

– Tak, to moje nazwisko – przemówił kustosz, uśmiechając się na widok pokracznego, dziecinnego gryzmołu.

– Dał mi to jeden z naszych braci, co szedł w pąci¹³ do miejsc świętych (jest obecnie przełożonym klasztoru Lung-Cho) – jękał lama – on opowiadał mi o tym...

Drżała mu sucherlawa ręka, gdy zataczał nią wokoło.

– Witajże więc, lamo z Tybetu. Tu są obrazy, a ja tu

¹³ iść w pąci – tzn. iść jako pątnik; pielgrzymować. [przypis edytorski]

przebywam w tym celu – (tu rzucił okiem na twarz lamy) – by gromadzić wiedzę. Chodź na chwilę do mego gabinetu.

Starzec ruszył za nim, drżąc ze wzruszenia.

Ów gabinet był jedynie małą drewnianą sypialnią, wyodrębnioną z galerii obrzeżonej rzeźbami. Kim położył się na ziemi, przytknąwszy ucho do szpary w splekanych od gorąca drzwiach cedrowych, a idąc za wrodzonym instynktem, natężył słuch i uwagę.

Przeważna¹⁴ część rozmowy była dlań całkiem niezrozumiała.

Lama, zrazu wahając się nieco, opowiadał kustoszowi o klasztorze Such-zen, leżącym naprzeciw Malowanych Skał, o cztery miesiące drogi od Lahory. Kustosz wyciągnął ogromny album z fotografiami i pokazał mu owo właśnie siedlisko, sterczące na urwistej grani, spozierające z wysoka na rozległą dolinę o różnobarwnym uwarstwieniu.

– Tak, tak! – wołał lama, osadziwszy na nosie okulary chińskiej roboty w rogowej oprawie. – Oto furtka, którą znosimy drzewo na zimę. A ty... więc Anglicy wiedzą o tym, wszystkim? Ten, który jest obecnie przełożonym klasztoru Lung-Cho, mówił mi o tym, ale nie chciało mi się wierzyć. Czy Pan nasz wszechpotężny odbiera cześć i tutaj? A życie jego jest i u was znane?

– Wszystko jest tu wyryte na kamieniach. Chodź obejrzeć, jeżeli nie jesteś utrudzony.

Lama wykatulał się do głównej sali i idąc obok kustosza,

¹⁴ *przeważny* – dziś: *przeważający*; stanowiący większość. [przypis edytorski]

zwiedzał zbiory z uszanowaniem człowieka nabożnego i oceniającym spojrzeniem biegłego rzemieślnika. Sprawdzał szczegóły za szczegółem z pięknej opowieści wyrytej na wyszarzałym kamieniu; niekiedy zbijały go z tropu nieswojskie mu greckie uogólnienia, lecz cieszył się jak dziecko za każdym nowym odkryciem. Gdzie brakło ciągłości, jak na przykład w Zwiastowaniu, kustosz uzupełniał treść, zasięgając pomocy w stosie książek francuskich i niemieckich z fotografiami i rysunkami.

Był tam pobożny Asita (coś jakby Symeon z dziejów biblijnych), trzymający na kolanach Świętą Dziecinę, obok niego zaś zasłuchani ojciec i matka; były też zdarzenia z legend o ciotecznym bracie Devadatta. Była tam także i występna kobieta, która mistrza oskarżyła o nieczystość i została zawstydzona; było i kazanie w zwierzyńcu, a również i cud, który o brak zmysłów przyprawił czcicieli ognia; był Bodhisat jako władca, w królewskiej dostojności; było cudowne narodzenie, była śmierć w Kusinagarze, gdzie słaby jego uczeń postradał przytomność. Wprost niezliczone razy powtarzało się rozmyślanie pod drzewem Bodhi, a już na każdym miejscu było wyrażone uwielbienie jego miseczki żebraczej. W czas niedługi kustosz przekonał się, że jego gość nie był ot sobie dziadym klepiącym pacierze, lecz uczonym o wielkich zdolnościach. Chodzili tam i z powrotem, przyglądając się wszystkiemu, a lama zażywał tabaki, przecierał okulary i z szybkością pędzącego pociągu paplał bez przerwy jakąś wariacką mieszaniną Urdu

i tybetańskiego. Słyszał o podróżach chińskich pątników, Fo-Hiana i Hwen-Thianga, i rad był się dowiedzieć, czy istnieje jakiś przekład ich pamiętników. Wzdychał głęboko, przerzucając bezradnie stronicę książki Béala i Stanisława Juliana.

Wszystko jest tutaj. Cały skarbiec zamknięty!

Po czym przybrał postawę pełną szacunku, by posłuchać urywków naprędce przetłumaczonych na gwargę urduską. Po raz pierwszy posłyszał o pracach uczonych europejskich, którzy za pomocą tych oraz setki innych dokumentów stwierdzili tożsamość świętych miejsc czczonych przez buddystów. Następnie pokazano mu potężną mapę, poplamioną i wyżółkłą. Brunatny palec lamy posuwał się od znaku do znaku za ołówkiem kustosa. Tu była Kapilavastu, tam Królestwo Środka, indziej zaś Maha Bodhi, Mekka buddystów, a oto Kusinagara, smutne miejsce zgonu świętego. Starzec na chwilę pochylił w milczeniu głowę nad arkuszami, a kustosz zapalił nową fajkę. Kim dawno zasnął. Gdy się obudził, rozmowa, wciąż jeszcze w toku będąca, była już dlań bardziej zrozumiała.

– I tak się stało, o źródło mądrości, że postanowiłem udać się do miejsc świętych, po których stąpała jego noga: do miejsca narodzin, do samej Kapili... potem do Maha Bodhi, czyli Buddh Gaya... do klasztoru... do zwierzyńca... do miejsca jego zgonu.

Lama zniżył głos.

– Sam tu przychodzę... Od pięciu... siedmiu... ośmiu... czterdziestu lat dręczyła mnie myśl, że stary zakon religii naszej nie dochowuje się w stanie nieskalanym, gdyż wkradły się doń

sprawy czartowskie, gusła i bałwochwalstwo. Nawet dziecko na ulicy powiedziało o tym przed chwilą. Tak właśnie, powiedziało dziecko: – *but parast!*

– Tak się dzieje z każdą religią.

– Tak sądzisz? Rozczytywałem się w księgach mego klasztoru i zdawało mi się, jak gdyby szpik w nich wysechł; a późniejszy obrządek, którym obarczyliśmy się sami, my zwolennicy prawa reformowanego, również nie miał wartości w moich starych oczach. Nawet wyznawcy Najdoskonalszego drą koty pomiędzy sobą. Wszystko to złudzenie, tak, *maya*, złudzenie. Ale ja pragnę czego innego...

Poryta, żółta twarz przysunęła się na trzy cale do twarzy kustosa, a długi paznokieć palca wskazującego pukał po stole.

– Wasi uczeni za pomocą tych księzek wytropili błogosławione jego stopy we wszystkich jego wędrówkach, lecz są jeszcze rzeczy, których oni nic dociekli. Ja nie wiem nic... nic nie wiem... ale chcę się wyzwolić z błędnego koła wszechrzeczy, krocząc drogą szeroką i otwartą.

Uśmiechnął się triumfująco z wielką prostotą.

– Jako pątnik do miejsc świętych zdobywam sobie zasługę. Ale na tym nie koniec; posłuchaj rzeczy prawdziwej. Gdy nasz Pan łaskawy w leciech¹⁵ młodych szukał sobie towarzyszek żywota, na dworze jego ojca mówiono, że jest on nazbyt wątpliwy, by mógł wstępować w związek małżeński. Czy wiesz o tym?

Kustosz skinął głową, zaciekawiony, co teraz nastąpi.

¹⁵ w leciech (daw.) – w latach. [przypis edytorski]

– Przeto ustanowiono trojaki zawody na siłę dla wszystkich, którzy przystąpią do turnieju. Gdy przyszło do próbowania łuku, Pan nasz najpierw złamał łuk, który mu podano, a potem zażądał takiego, którego nikt nie mógł napiąć. Wiesz o tym?

– Pisano o tym. Czytałem.

– Strzała, prześcignawszy wszystkie cele, osiągnięte przez innych, pomknęła hen w dal, aż znikła z oczu. Na koniec spadła; tam gdzie dotknęła ziemi, wytrysnął strumyk, który obecnie stał się rzeką, ta zaś (dzięki łaskawości Pana naszego i tych zasług, jakie zdobył sobie, zanim się wyzwolił) ma tę własność, iż zmywa wszelką zmacę i zakałę grzechu z każdego, kto się w niej wykąpie.

– Tak napisano – rzekł kustosz markotnie.

Lama odetchnął głęboko.

– Gdzie ta rzeka? O źródło mądrości, powiedz, gdzie utkwiał ów bełt?

– Niestety, nie wiem tego, mój bracie – rzekł kustosz.

– Nie, jeżeli raczyłeś zapomnieć... to jedyna rzecz, o której mi nie powiedziałaś. Chyba i to jest ci wiadome? Patrz, jestem człowiekiem starym! Błagam cię, kładąc głowę u stóp twoich, o źródło mądrości! My wiemy, że On napiął łuk. Wiemy, że strzała upadła! Wiemy, że wytrysnął strumień! Więc kędyż jest owa rzeka? We śnie słyszałem głos, że ją odnajdę. Dlatego przybyłem... jestem tu... ale gdzież jest rzeka?

– Sądzisz, że gdybym wiedział, nie wołałbym na cały głos o tym?

– Przez nią zyskuje się wybawienie z Kołowrotu Wszechrzeczy – ciągnął dalej lama, nie zważając na jego słowa.
– Rzeka Strzały! Pomyśl jeszcze nad tym!... Może jakiś mały strumyczek, wyschnięty od upałów? Lecz Najświętszy nigdy by tak nie oszukiwał starca.

– Nie wiem... nie wiem...

Lama znowu przybliżył na odległość dłoni swą twarz, tysiącem zmarszczek okrytą, do twarzy Anglika.

– Widzę, że nie wiesz. Ponieważ nie jesteś wyznawcą zakonu, sprawa ta zakryta jest przed tobą.

– Tak... zakryta... zakryta...

– Jesteśmy obaj związani, ja i ty, mój bracie. Lecz ja – (tu podniósł się, powłócząc miękkimi zwojami grubego sukna) – chcę wyzwolić się przebojem! Chodź razem ze mną!

– Mam obowiązki – rzekł kustosz – ale gdzie ty iść zamierzasz?

– Najpierw do Kashi (Benares)... gdzieżby indziej? Tam, w tym mieście spotkam jednego z wyznawców czystej wiary w świątyni *Jainów*. On również jest poszukiwaczem tajemnicy i może od niego nabędę jakichś wiadomości. Może pójdzie on wraz ze mną do Buddh Gaya, stamtąd na północ i zachód do Kapilavastu, tam zaś będę dowiadywał się o rzekę. Nie, będę szukał wszędzie, gdziekolwiek droga mi wypadnie, albowiem nieznane jest miejsce, gdzie upadła strzała.

– A jak będziesz szedł? Do Delhi jest spory kawał drogi, a do Benares jeszcze dalej.

– Drogami i kolejami. Od Pathânkot, gdy opuściłem góry, aż tutaj jechałem pociągiem. O, jak on jedzie prędko! Zrazu zdumiewałem się, widząc te wysokie drągi, sterczące wzdłuż toru, z których nieustannie wysnuwały się druty – (tu gestami naśladował wznoszenie się i opadanie słupów telegraficznych, migających koło pociągu. – Lecz później chwyciły mnie kurcze i zapragnąłem iść piechotą, jak miałem w zwyczaju.

– A czy jesteś pewny drogi? – zapytał kustosz.

– O, na to wystarczy się tylko rozpytywać i płacić, a osoby do tego wyznaczone odsyłają każdego na właściwe miejsce. Tego dowiedziałem się z pewnego źródła w klasztorze – rzekł lama chełpliwie.

– A kiedy pójdziesz?

Kustosza rozśmieszyło to skojarzenie staroświeckiej pobożności i nowoczesnego postępu, które jest cechą dzisiejszych Indii.

– Zaraz, skoro będę mógł. Zwiedzę miejsca, gdzie On żył, aż dojdę do Rzeki Strzały. Zresztą... oto papier, na którym wypisano godziny odjazdu pociągów idących na południe.

– A jak z jedzeniem?

Lamowie zazwyczaj mają przy sobie sporo pieniędzy, lecz kustosz chciał się upewnić co do tego.

– W podróży noszę z sobą, za wzorem Mistrza, miskę żebraczą. Tak. Idę tak jak On, zapominając o wygodach mego klasztoru. Gdy opuściłem góry, był ze mną *chela* (żak), który żebrał dla mnie, jak tego wymagają przepisy, lecz gdyśmy

niedługo popasali¹⁶ w Kulu, zmarł na febrę. Teraz nie mam *cheli*, lecz będę nosił miskę żebraczą i tak ludziom miłosiernym dam sposobność do pozyskania zasług.

Wstrząsnął odważnie głową. Uczeni mnisi-lamaiści nie chodzą po prośbie, lecz ten lama był zapaleńcem w swoich poszukiwaniach.

– No dobrze – rzekł kustosz, uśmiechając się. – Pozwól teraz, bym ja zdobył zasługę. Jesteśmy obaj z jednego cechu. Oto jest nowy zeszyt z białego angielskiego papieru, tu zaś kilka ołówków grubych i cienkich, dobrych dla pisarza. A teraz użycz mi swych okularów.

Kustosz spojrział przez nie. Były bardzo porysowane, ale siła szkielec była niemal ta sama co w jego okularach, które wręczył lamie, mówiąc:

– Spróbuj ich.

– Ależ, jak piórko! Jakbym piórko miał na twarzy! – starzec pokręcił głową z zachwytem i zmarszczył nos. – Prawie ich nie czuję, jakże wyraźnie przez nie widzę!

– One są *bilaur*, kryształowe, i nigdy się nie porysują. Niech ci one dopomogą zejść do twojej rzeki, gdyż są twoją własnością.

– Wezmę je, jak też te ołówki i biały zeszyt – mówił lama – jako znak przyjaźni dwóch kapłanów... a teraz... – podłubał za pasem, wyciągnął inkrustowany piórniki żelazny i położył go na stole kustosza. – To na pamiątkę ode mnie... ten piórniki. Jest on nieco stary, jak i ja sam.

¹⁶ *popasać* – robić postój w podróży. [przypis edytorski]

Był to wyrób chiński z żelaza, jakiego już dzisiaj nie leją, okryty starożytnym deseniem, a kustoszowi, w którym ozwała się żyłka kolektorska, serce rwało się do niego od pierwszego wejrzenia. Lama żadną miarą, mimo namowy kustosza, nie chciał z powrotem przyjąć swego daru.

– Gdy powrócę, odnalazłszy rzekę, przyniosę ci opatrzony napisami obraz Padma Samthory, jeden z tych, jakie malowałem na jedwabiu w klasztorze. Tak... i jeszcze obraz Koła Życia – zachichotał – gdyż jesteśmy obaj mistrzami jednego cechu.

Kustosz miał chętkę jeszcze go zatrzymać; już niewielu w świecie było takich, którzy znali tajemnicę tradycyjnych pędzelkowych malowideł buddyjskich, co to są jakby na wpół malowane, a na wpół pisane. Lecz lama, zadarłszy głowę, ruszył krokiem posuwistym i przystanąwszy na chwilę w zamyśleniu przed wielkim posągim zadumanego Bodhisata, wymknął się przez drzwi obrotowe.

Kim poszedł za nim jak cień. To, co podsłuchał, podnieciło go niezmiernie. Ten człowiek był czymś zupełnie nowym we wszystkich jego przeżyciach, więc Kim postanowił go śledzić, całkiem jak gdyby chodziło tu o zbadanie nowego gmachu lub przyjrzenie się jakiemuś osobliwemu obchodowi w mieście Lahorze. Lama był jego odkryciem, więc chłopak zamierzał wziąć go w posiadanie. Matka Kima była też Irlandką!

Starzec zatrzymał się koło Zam-Zammah i rozejrzał się wokoło, aż wzrok jego padł na Kima. W tej chwili nie znać było w nim zapału, jaki ożywiał go w pielgrzymce; czuł się starym,

porzuconym¹⁷ i doznawał dziwnej pustki.

– Nie wolno siadać pod tą armatą! – huknął policjant wyniośle.

– Hu-hu! Ty sowo! – odciął się Kim w obronie lamy. – Siądź pod armatą, staruszk, jeżeli masz ochotę. Kiedy to ukradłeś pantofle mleczarce, Dunnoo?

Była to potwarz zgoła nieuzasadniona, rzucona pod wrażeniem chwili, ale zdołała uciszyć policjanta Dunnoo, który wiedział, że donośny krzyk Kima potrafi zwołać, w razie potrzeby, zastępy złośliwych uliczników.

– Komu oddawałeś tam cześć? – ozwał się Kim uprzejmie, przycupnąwszy w cieniu obok lamy.

– Nie oddawałem czci nikomu, moje dziecię. Pokłoniłem się Wzniosłemu Prawu.

Kim bez wzruszenia posłyszał o tym nowym bożku; znał się już nieco na podobnych sprawach.

– A czym ty się zajmujesz?

– Żebrę. Przypomniałem sobie, że to już czas niemały, jak nie jadłem i nie piłem. Jaki jest w tym mieście zwyczaj zbierania jałmużny? W milczeniu, jak u nas w Tybecie, czy też głośno?

– Ci, którzy żebrają po cichu, umierają też po cichu z głodu! – rzekł Kim, przytaczając ludowe przysłowie. Lama próbował powstać, lecz zwałił się z nóg i siadł powtórnie, wzdychając za swoim uczniem, który zmarł w odległym Kulu. Kim,

¹⁷ *czuł się starym, porzuconym* – daw. konstrukcja z przym w N., dziś w B.: *czuł się stary, porzucony*. [przypis edytorski]

odchyliwszy w bok głowę, przypatrywał mu się z zaciekawieniem i w zadumie.

– Daj mi miseczkę. Znam ludzi w tym mieście... wszystkich, którzy są miłosierni. Daj, a odniosę ci ją pełną strawy.

Starzec potulnie jak dziecko wręczył mu miseczkę.

– Odpocznij sobie. *Ja* znam ludzi tutejszych.

Podreptał do straganu *kundźri* (przekupki z niskiej kasty), co znajdował się naprzeciwko toru tramwajowego, poniżej Bazaru Motee. Znała ona Kima od dawna.

– Oho! Czy stałeś się *yogi*, że chodzisz z tą miską żebraczą?
– zawołała.

– Nie! – odparł Kim wyniośle. – W mieście zjawił się nowy kapłan... człowiek, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem.

– Stary kapłan, młody tygrys! – odezwała się z gniewem kobieta. – Oj, daliż mi się we znaki ci nowi kapłani! Złazą się jak muchy do moich towarów! Czyż ojciec mego syna jest studnią miłosierdzia, by dawać wszystkim, którzy proszą?

– Nie! – rzekł Kim. – Twój mąż jest nie tyle *yogi* (świętobliwy), co *yagi* (złego charakteru). Lecz ten kapłan jest zupełnie nowym przybyszem. Sahib z Domu Cudów gwarzył z nim za pan brat. No, matko, napełnijcie mi tę miskę! On czeka.

– Miskę... ciewy¹⁸! Toć to cebrzyk wielkości krowiego brzucha! Jesteś tu w łaskach, jak święty byk Shivy. On mi tu już rano wygarnął co najlepsze cebule z koszyka, a teraz, dalibóg, muszę tobie napełniać micę! On tu znów nadchodzi!...

¹⁸ *ciewy* (gw.) – też coś. [przypis edytorski]

Ogromny, myszaty byk bramiński torował sobie drogę wśród różnokolorowej gawiedzi, a z pyska zwisał mu skradziony banan. Zmierzał wprost do straganu, znając dobrze przywileje poświęcanego bydłęcia; pochylił łeb i sapał ciężko nad rzędem koszyków, jak gdyby w nich przebierając. Naraz wystrzelił w górę mały twardy obcas Kima i trzasnął buhaja w oślizgłe, sine nozdrza. Ów parsknął gniewnie i przeszedł na drugą stronę szyn tramwajowych, z wściekłością wstrząsając garbem.

– Widzisz! Uratowałem ci trzy razy więcej, niżby cię kosztowało napełnienie tej miski. No a teraz, matko, daj krzynkę ryżu, a na to trochę suszonej ryby... tak, i jeszcze nieco zupy jarzynowej.

Z głębi kramika¹⁹, gdzie leżał jakiś człowiek, doszedł pomruk.

– On odpędził byka – ozwała się baba półgłosem. – Dobrze przecie dać coś ubogiemu.

Wzięła miskę i odniosła ją pełną gorącego ryżu.

– Ależ mój *yogi* nie jest krową! – rzekł Kim poważnie, wygrzebując palcami dziurę w wierzchołku kopiastej strawy. – Przydałoby się trochę polewki i pieczonego ciasta, a kęs smażonych owoców też by go ucieszył, jak sędzę.

– Ten dołek jest tak duży, jak twoja głowa! – sarknęła baba; mimo to napełniła wgłębienie smaczną, dymiącą zupą jarzynową, przywaliła to z wierzchu sucharem, na sucharku

¹⁹ *kramika* – dziś: kramiku. [przypis edytorski]

położyła wiórko²⁰ świeżo wybitego masła, a z boku pacnęła grudkę kwaśnej marmelady²¹ tamaryndowej. Kim z lubością wpatrywał się w ten stos.

– No, wystarczy! Ilekroć będę na targowicy²², byk nie zajrzy do tego domu. Bezczelny z niego żebrak!

– A ty? – zaśmiała się przekupka. – Ale wyrażaj no się dobrze o bykach. Czyżeś mi sam nie opowiadał, że kiedyś tam ma przyjść do ciebie z pola Ryży Byk, by ci pomagać. A teraz zabieraj to żarcie i poproś tego świątka o błogosławieństwo dla mnie. Może on też zna jakieś leki na bolące oczyska mojej córki. Zapytaj go o to, Mały Przyjacielu całego świata!

Lecz Kim wyfrunął jeszcze przed domówieniem tego zdania, wymykając się kundlom pariasów i zgłodniałym znajomkom.

– Tak zbieramy jałmużnę my, którzy wiemy, jak się brać do rzeczy! – rzekł chełpliwie do lamy, który wybałuszył oczy, ujrzawszy zawartość miski. – A teraz frygaj... i ja też z tobą się pożywię. *Ohe bhistie!* – zawołał na nosiwodę polewającego kleszczowiny²³ koło muzeum. – Daj no tu wody! Nam, *ludziom*, chce się pić!

– Nam, *ludziom!* – rzekł *bhistie*, śmiejąc się. – Czy jedna łagiew skórzana wystarczy na dwu takich ludzi? Pijcież sobie w

²⁰ *wiórko* – dziś: wiórek. [przypis edytorski]

²¹ *marmelada* – dziś: marmolada. [przypis edytorski]

²² *targowica* – tu: targowisko. [przypis edytorski]

²³ *kleszczowina* – roślina, z której wyrabiają znany olejek rycynowy. [przypis tłumacza]

imię miłosierdzia.

Wypuścił cienki strumień wody na rękę Kima, który pił na sposób gminu; lecz lama uznał za konieczne wydobyć kubek z niewyczerpanego zanadrza i pił z przejęciem.

– To *pardesi* (cudzoziemiec) – wyjaśnił Kim, gdy starzec niezrozumiałą gwarą wypowiedział coś, co ponoć było błogosławieństwem.

Zajadali pospołu z wielkim zadowoleniem, aż wyjedli do czysta całą miskę. Następnie lama zażył tęgi niuch z drewnianej tabakiery o baniastym, potwornym kształcie, przez chwilę przesuwając paciorki różańca i tak nieznacznie, w miarę jak wydłużał się cień Zam-Zammah, staruszek zapadł w snadny²⁴ sen, właściwy jego wiekowi.

Kim powlókł się do najbliższej sklepikarki, co sprzedawała tytoń; była to mahometanka, osóbką jeszcze młoda i dość żwawa. Poprosił ją o mocno woniejące cygaro z gatunku, jaki sprzedają słuchaczom uniwersytetu pendzabskiego, małpującym zwyczaje angielskie. Zapalił je, usiadł pod lufą działa i podparłszy brodę kolanami, zamyślił się. Wynikiem rozmyślań była nagła wyprawa chyłkiem w stronę tartaku Nila Rama.

Lama nie obudził się, aż dopiero, gdy z nastaniem wieczoru zatętnił żywszy ruch w całym mieście, gdy rozbłysły latarnie i gdy biało ubrani urzędnicy oraz ich podwładni zaczęli wychodzić z biur rządowych. W oszołomieniu wytrzeszczał oczy na wszystkie strony, ale nikt nie zwracał nań uwagi, oprócz

²⁴ *snadny* (daw.) – łatwy. [przypis edytorski]

jakiegoś łobuziaka-Hindusa w brudnym zawoju i słomianego koloru szatkach. Nagle pochylił głowę na kolana i jęknął.

– Co ci to? – ozwał się chłopak, stając przed nim. – Czy cię okradziono?

– Mój nowy *chela* poszedł sobie precz ode mnie i nie wiem, gdzie się obraca.

– A jak wyglądał ten twój żak?

– Był to chłopiec zesłany mi z łaski niebios na miejsce tego, który umarł. Byłem przezeń wynagrodzon za zasługę, jaką pozyskałem, oddając tam oto pokłon Zakonowi – tu wskazał ręką w stronę muzeum. – Zjawił się, by pokazać mi drogę, którą straciłem był z oczu. Wprowadził mnie do Domu Cudów i swą gawędą ośmielił mnie do rozmowy ze Strażnikiem Wizerunków, tak iż stałem się rzeński i silny na duchu. A gdy osłabłem z głodu, on zebrał o jadło dla mnie, jakby to czynił *chela* dla swego nauczyciela. Był mi nagle zesłany i nagle też odszedł ode mnie... a ja miałem zamiar uczyć go Zakonu, idąc z nim razem do Benares!...

Kim stał, olśniony tymi słowy. Wszak podsłuchiwał był rozmowę w muzeum i wiedział, że starzec mówił prawdę; a jest to rzecz, którą krajowiec rzadko przypisze cudzoziemcowi.

– Lecz teraz widzę, że on był mi zesłany tylko dla jakiegoś celu. Z tego wnoszę, że odnajdę pewną rzekę, której poszukuję.

– Rzekę Strzały? – rzekł Kim z uśmiechem wyższości.

– Czyżby to był jeszcze jeden zesłaniec niebios? – krzyknął lama. – Nikomu prócz Strażnikowi Wizerunków nie mówiłem o

mych poszukiwaniach. Ktoś ty?

– Twój *chela* – rzekł Kim prostodusznie, przysiadając na piętach. – W życiu nie widziałem nikogo, kto by był tobie podobny. Pójdę z tobą do Benares. Poza tym sędzę, że człek tak stary jak ty, mówiący szczerą prawdę ludziom przypadkowo napotkanym o zmroku, bardzo potrzebuje ucznia.

– Ale ta rzeka... Rzeka Strzały?

– Ee! Słyszałem o niej wtedy, gdy rozmawiałeś z Anglikiem. Leżałem pod drzwiami.

Lama westchnął.

– Myślałem, że zostałeś mi z niebios zesłany na przewodnika. Takie rzeczy czasem się zdarzają... ale jam tego niegodzien. Więc ty nie wiesz nic o tej rzece?

– Nic mi do niej! – roześmiał się Kim jakoś przykro. – Ja chcę szukać... szukać byka... Ryżego Byka w zielonym polu, który ma mi pomagać.

Ilekcóż ktoś ze znajomych wystąpił z jakim zamiarem, Kim – iście po chłopięcemu – na poczekaniu snuł własne pomysły; i również, jak to chłopak, naprawdę ze dwadzieścia minut wszystkiego myślał o przepowiedni swego ojca.

– W czym pomagać, dziecino? – zapytał lama.

– Bogu to tylko wiadomo, ale tak mi mówił mój ojciec. Słyszałem w Domu Cudów twoje opowiadanie o tych najprzeróżniejszych dziwnych miejscowościach wśród gór; jeżeli więc ktoś tak stareńki i tak nawykły do mówienia prawdy może puszczać się w podróż dla rzeczy tak błażej, jak jakaś tam rzeka,

to zdawało mi się, że i ja też powinienem ruszyć w drogę. Jeżeli naszym przeznaczeniem jest znaleźć te rzeczy, to je odnajdziemy – ty swoją rzekę, a ja swego Byka i te mocne Filary, i jeszcze kilka rzeczy, które już mi wyszły z pamięci.

– Ja chciałbym się uwolnić nie od Filarów, lecz od Błędnego Koła – rzekł lama.

– Wszystko jedno. Może mnie tam zrobić królem – rzekł Kim pogodnie, przygotowany na wszystko.

– W drodze nauczę cię innych i lepszych pragnień – odparł lama tonem zwierzchniczym. – Chodźmy do Benares.

– Nie teraz po nocy. Na drodze pełno zbójców. Zaczekajmy do dnia.

– Ależ tu nie ma gdzie zanoć.

Starzec przyzwyczajony był do klasztornej porządku i choć zgodnie z regułą sypiał na ziemi, jednak wołał i w tym przestrzegać przyzwoitości.

– Dostaniemy klawy nocleg w Seraju Kaszmirskim! – rzekł Kim, śmiejąc się z jego zafrasowania. – Mam tam przyjaciela. Chybaj za mną!

Skwarne i rojne targowiska świeciły blaskiem oślepiającym, gdy oni przebijali się przez ciżbę, złożoną ze wszystkich ras Górnych Indii; lama szedł po omacku, jak lunatyk. Była to pierwsza jego bytność w wielkim mieście fabrycznym, toteż przepełniony wagon tramwajowy przerażał go ustawicznym zgrzytem hamulców. Raz popychany, to znów ciągnięty za rękę, doszedł wreszcie do wysokich wrót Seraju Kaszmirskiego. Był

to duży i odsłonięty plac naprzeciw dworca kolejowego, opasany sklepionymi podcieniami; obozowały tam karawany wielbłądów i koni powracających z Azji środkowej. Przebywali tu ludzie z wszelkich szczepów północnych, pilnując spętanych kucyków i klęczących wielbłądów; ładowali i wyładowywali juki i tłumoki, skrzypiącym żurawiem ciągnęli ze studni wodę na ugotowanie wieczery; rzucali sterty siana rżącym i łyskającym ślepiami ogierom; okładali razami warczące psy karawanowe, wypłacali należność poganiaszom wielbłądów, najmowali nową służbę, przeklinali, wrzeszczeli, kłócili się i targowali na zatłoczonym dziedzińcu. Podcienia, do których wiodły po trzy lub cztery murowane schodki, tworzyły przystań bezpieczną dokoła tego burzliwego morza. Większość ich wynajęto przekupniom, tak jak się wynajmuje arkady wiaduktów; przestrzeń między słupami była zamurowana lub podzielona przepierzeniami na izby, których broniły ciężkie, drewniane dźwierze²⁵ i niezgrabne kłódki wyrobu krajowego. Tu i ówdzie zamknięte na głucho dźwierze świadczyły, że właściciel wyjechał, a nieco koszlawe²⁶ – czasem nawet bardzo koszlawe – gryzmoły, wypisane kredą lub farbą, głosiły, dokąd się udał. Na przykład:

„Lutuf Ulah pojechał do Kurdystanu”.

A poniżej rubaszny dopisek:

„O Allachu, który pozwalasz wszom łązić po chałacie Kabula, czemuś pozwolił tej gnidzie, Lutufowi, żyć tak długo?”

²⁵ dźwierze (daw.) – drzwi. [przypis edytorski]

²⁶ koszlawy – dziś: koślawy; krzywy, niezgrabny. [przypis edytorski]

Kim, osłaniając łamię w ścisku rozgorączkowanych ludzi i zwierząt, szedł boczkiem wzdłuż krużganków aż do najdalszego zakątka, tuż przy dworcu kolejowym, gdzie przemieszkował handlarz koni, Mahbub Ali, ilekroć powrócił z owego tajemniczego kraju za przełęczami północnymi.

Kim miał już wiele styczności z Mahbubem Ali w ciągu swego krótkiego żywota – zwłaszcza w wieku od dziesięciu do trzynastu lat, a rosły i otyły Afgańczyk o brodzie ubarwionej farbką na szkarłatno (był bowiem już podstarzały i nie chciał, by widziano, że ma siwe włosy), cenił w chłopcu wybornego donosiciela plotek. Czasem polecał Kimowi śledzić człowieka, który nie miał nic wspólnego z końmi, chodzić za nim przez cały dzień boży i donosić o każdym, z kim ów rozmawiał. Wieczorem Kim zdawał szczegółowo sprawę ze wszystkiego, a Mahbub przysłuchiwał się bez słowa, a choćby najmniejszego poruszenia. Kim wiedział, że to pachnie jakąś intrygą, ale jej wartość zasadzała się na tym, by nie pisać o tym nikomu prócz Mahbuba, który częstował go pysznymi, podanymi na gorąco, potrawami z jadłodajni u wniścia do seraju, a raz nawet dał mu aż osiem *ann* w brzęczącej monecie.

– Stary jest w domu – rzekł Kim, palnąwszy w nos nadąsanego wielbłąda. – Hej, Mahbubie Ali!

Zatrzymał się pod mroczną arkadą i szusnął poza plecy oszołomionego łamy.

Koniarz, rozpuściwszy na sobie ciemny, wzorzysty pas bucharski, wylegiwał się na parze jedwabnych czapraków,

pykając gnuśnie z ogromnej srebrnej *hookah*²⁷. Posłyszawszy wołanie, nieznacznie tylko odwrócił głowę, a widząc jeno wysoką, milczącą postać, zachichotał w głębi piersi:

– Allach! Lama! Czerwony lama! Z Lahory daleko do przełęczy górskich. Cóż ty tu porabiasz?

Lama odruchowo podniósł miszkę żebracką.

– Kłątwa boża na wszystkich niewiernych! – ozwał się Mahbub. – Nie dam nic wszawemu Tybetańczykowi, ale poproś moich Baltisów, tam poza wielbłędami. Oni oceniają twoje błogosławieństwa. Hej, koniuchy! Jest tu wasz krajan! Dowiedźcie się, czy nie głodny!

Wygolony, przygarbiony Baltis, który przybył z końmi, a był niejako niższego stopnia buddystą, jał nadskakiwać duchownemu i grubymi krtaniowymi dźwiękami zaprosił świątobliwego do ogniska koniuchów.

– Idź! – rzekł Kim, trącając go z lekka; lama oddalił się, pozostawiając Kima u węgła podcieni.

– Wynocha! – ozwał się Ali Mahbub, zabierając się znów do *hookah*. – Idźże na cztery wiatry, mały Hindusie! Przekleństwo boże na wszystkich niewiernych! O jałmużnę proś tych z mojej drużyny, którzy wyznają twoją wiarę!

– Maharadżo! – zaskomlał Kim, używając hinduskiego sposobu tytułowania i wielce ubawiony tą sytuacją – ojciec mi umarł... matka mi umarła... w żołądku mam pustkę...

– Proś moich ludzi, którzy pilnują tabunu, powiedziałem ci

²⁷ *hookah* – długa fajka z chłodnicą. [przypis redakcyjny]

już! Wśród mojej czeladzi musi być kilku Hindusów.

– Ach, Mahbubie Ali, czyż *ja* jestem Hindusem? – rzekł Kim po angielsku.

Koniarz nie okazał po sobie zdziwienia, lecz spojrzał spod krzaczastych brwi.

– Mały Przyjacielu całego świata – przemówił – co to ma znaczyć?

– Nic. Jestem obecnie żakiem tego świętego człowieka i razem udajemy się w pielgrzymkę... do Benares, jak powiada. On ma ćwieka w głowie, a mnie już się znudziło w mieście Lahorze. Pragnę innej wody i innego powietrza.

– Lecz dla kogo pracujesz? Po coś przybył do mnie? – w głosie jego opryskliwym można było wyczuć podejrzenie.

– A do kogóż miałem przyjść? Nie mam pieniędzy. Niedobrze to podróżować bez grosza przy duszy. Ty sprzedasz oficerom wiele koni. Cacane konisie udało ci się nabyć!... jużem się im przyjrzał. Daj mi rupię, Mahbubie Ali, a gdy dochrapię się majątku, wystawię ci rewers i zapłacę.

– Hm! – rzekł Mahbub Ali, wpadłszy na nową myśl. – Nigdy mnie dotąd nie okłamałeś. Zawołaj tego lamę... i ukryj się w ciemności.

– O, nasze opowiadania będą zupełnie zgodne! – rzekł Kim, śmiejąc się.

– Idziemy do Benares – mówił lama, skoro zrozumiał treść pytań Mahbuba Alego. – Chłopiec i ja. Ja chcę szukać jednej rzeki...

– Niechta... ale chłopiec?

– Jest moim uczniem. Był mi, jak sądzę, zesłany z niebios, by zaprowadzić mnie do tej rzeki. Siedziałem pod armatą, gdy on nagle się zjawił. Oto, co zdarzyło się szczęśliwcowi, któremu dano mieć przewodnika. Ale przypominam sobie... on mówił, że jest z tego świata... jest Hindusem...

– A jak się nazywa?

– Nie pytałem go o to. Czy nie jest moim uczniem?

– A jego kraj... rasa... gmina? Muzułmanin, Hindus, *sikh* czy *jain*? Z niższej czy wyższej kasty?

– Na cóż go miałem o to pytać? Na Środkowej Drodze nie ma ani wysokich, ani niskich. Jeżeli on jest mym *chela*, to czyż ktoś zechce... zdoła... potrafi mi go odebrać?... Zważ, że bez niego nie odnajdę mej rzeki! – pokiwał uroczyście głową.

– Nikt ci go nie zabierze. Idź, siądź sobie pomiędzy moimi Baltisami – rzekł Mahbub Ali, a lama oddalił się uspokojony obietnicą.

– Czyż on nie jest zbzikowany całkowicie? – rzekł Kim, wysuwając się znów ku światłu – Czemuż bym miał cię okłamywać, Hadži?

Mahbub pykał *hookah*, milcząc; nagle ozwał się niemal szeptem:

– Umballa jest na drodze do Benares.... o ile rzeczywiście obaj tam idziecie...

– Pff! Pff! Mówię ci, że on nie umie kłamać... jak to my obaj umiemy.

– I jeżeli zajdziesz z mym zleceniem do samej Umballi, to dam ci pieniądze. Chodzi tu o konia... białego ogiera, którego sprzedałem jednemu oficerowi, ostatnim razem, gdy wracałem z przesmyków górskich. Lecz wtedy... stań bliżej i podnieś rękę, jakbyś żebrał... rodowód siwego ogiera nie został jeszcze całkowicie stwierdzony i ów oficer, który jest w Umballi, prosił mnie o wyjaśnienia – (tu Mahbub opisał konia i wygląd oficera).

– Więc zlecenie, które ci daję do tego oficera, brzmi jak następuje: „Rodowód siwego ogiera jest całkowicie ustalony”. Tym sposobem on pozna, że przychodzisz ode mnie. On wtedy zapyta: „jaki masz dowód?” a ty odpowiesz: „Mahbub Ali dał mi dowód”.

– I to wszystko dla białego ogiera! – ozwał się Kim, parszcząc śmiechem, a oczy mu się zaświeciły.

– Ten rodowód dam ci zaraz... moim sposobem... a przy tym kilka przykrych słów.

Jakiś cień przemknął się za Kimem i za żującym wielbłądem... Mahbub Ali podniósł głos:

– Na Allacha! Czy jesteś jedynym żebrakiem w mieście? Matka ci umarła, ojciec umarł... tak to bywa u nich wszystkich! Dobrze, dobrze... – odwrócił się, jakby szukał czegoś na podłodze za sobą, i cisnął chłopcu pulchną i tłustą grzanekę mahometańską. – Idź i prześpij się wraz z lamą pomiędzy koniuchami. Jutro dam ci jakieś zajęcie.

Kim wymknął się, a zatopiwszy zęby w grzance znalazł w niej, jak się spodziewał, mały zwitek welinowego papieru zawinięty w

ceratę oraz trzy srebrne rupie... niebywała hojność! Uśmiechnął się i włożył pieniądze wraz z papierem do skórzanej sakiewki z amuletami. Lama, wspaniale nakarmiony przez Baltisów Mahbuba Alego, spał już w kącie stajni. Kim położył się obok niego i wybuchnął śmiechem. Wiedział, że wyświadczył jakąś przysługę Mahbubowi Ali, i ani na chwilę nie wierzył bujdzie o rodowodzie ogiera.

Atoli Kim nie podejrzewał wcale, że Mahbub Ali, znany jako jeden z najlepszych koniarzy w Pendżabie, bogaty i przedsiębiorczy kupiec, którego karawany docierały aż hen poza *tamtą* połąć świata, był zarejestrowany w jednej z tajnych ksiąg Indyjskiego Oddziału Topograficznego jako C-25 I. B. Dwa lub trzy razy do roku C-25 przysłał tam krótką opowieść, napisaną niewytwornie, ale bardzo zajmującą i zazwyczaj (potwierdzały to raporty R-17 i M-4) najzupełniej prawdziwą. Była w niej mowa o najrozmaitszych odległych księstewkach górskich, o podróżnikach narodowości innej niżeli angielska, o handlu bronią... słowem była to drobna część owej nieprzebranej ilości „otrzymanych wiadomości”, na jakich opiera się rząd indyjski. Lecz niedawno pięciu sprzymierzonych królów, którzy nie mieli powodu do zawierania przymierza, dostało wiadomość od pewnego życzliwego im mocarstwa północnego, że z ich obszarów przedostają się wieści do Indii angielskich. Przeto pierwsi ministrowie owych królów, poważnie zaniepokojeni, postanowili zaradzić temu iście wschodnim sposobem. Mieli w podejrzeniu, pomiędzy wielu

innymi, gburowatego, rudobrodego koniarza, którego karawany brnęły przez ich warownie, zapadając się po brzuchy w śniegu; w każdym razie w tym właśnie czasie urządzono dwukrotnie zasadzkę na karawanę i ostrzeliwano ją, a ludzie Mahbuba donosili o trzech nieznanych opryszkach, którzy, kto wie, czy nie byli najęci do tej sprawy. Dlatego Mahbub nie popasał²⁸ w parszywym mieście Peshawur i nie zatrzymując się poszedł na przełaj do Lahory, gdzie, znając swoich ziomków, spodziewał się ciekawego obrotu dalszych wypadków.

To właśnie było powodem, że Mahbub Ali ani na godzinę dłużej, niż należało, nie chciał zatrzymywać przy sobie owego drobno złożonego świstka welinowego papieru, owiniętego w ceratę... inaczej mówiąc, owego bezimiennego, niezaadresowanego doniesienia z pięciu ledwo dostrzegalnymi nakłuciami w rożku, które w najhaniańbniejszy sposób zdradzało pięciu sprzymierzonych królów, życzliwe im mocarstwo północne, hinduskiego bankiera w Peshawur, firmę rusznikarską w Belgii i wpływowego, na wpół niezależnego władcę mahometańskiego na południu. To ostatnie było sprawozdaniem R-17, które Mahbub zabrał z sobą za przełęczą Dora i przyniósł w zastępstwie R-17, gdyż ów wskutek okoliczności od niego niezależnych nie mógł opuścić swego posterunku. Dynamit był rzeczą niewinną i błahostką wobec tego raportu C-25; a nawet człowiek Wschodu, mający wschodnie poglądy co do wartości czasu, zdawał sobie sprawę, że im prędzej zostanie się to do

²⁸ *popasać* – robić postój w podróży. [przypis edytorski]

rąk właściwych, tym lepiej dla niego. Mahbub nie miał zbyt wielkiej ochoty umrzeć śmiercią gwałtowną, ponieważ czekało go kilka niedokończonych krwawych porachunków rodzinnych za granicą, a dopiero po ich załatwieniu zamierzał osiąść gdzieś na stałe jako mniej więcej cnotliwy obywatel. Przez dwa dni po owym przybyciu nie przekroczył ani razu bramy seraju, tylko sterczał na widoku ludzkim, wysyłając telegramy to do Bombaju, gdzie umieścił część swych pieniędzy, to do Delhi, gdzie jego wspólnik, z tego co on plemienia, sprzedawał konie agentowi państewka radżputańskiego, to znów do Umballi, gdzie jakiś Anglik natarczywie domagał się rodowodu białego ogiera. Uliczny skrybent, umiejący po angielsku, układał świetne telegramy, jak np.: *Creighton, Laurel Bank, Umballa, Koń jest arabski, jak już donoszono. Zmartwiony opóźnieniem rodowodu, który tłumaczę. Później pod tymże adresem: Bardzo zmartwiony zwłoką. Rodowód poślę.* Do wspólnika w Delhi telegrafował: *Lutuf Ullah. Telegrafowałem dwa tysiące rupij twój rachunek bank Luchmana Naraina.* Były to sprawy czysto kupieckie, lecz każdy z owych telegramów był wielokrotnie omawiany przez ludzi postronnych, snadź bardzo w tym zainteresowanych, jeszcze zanim dostały się na stację kolejową, zaniezione przez głupkowatego Baltisa, który wszelkim ludziom pozwalał odczytywać je po drodze.

Gdy Mahbub Ali, mówiąc własnym jego obrazowym językiem, zamącił źródła dociekań kijem ostrożności, spadł mu na kark Kim, jakby z nieba zesłany – więc równie sprytny,

jak nieliczący się z niczym koniarz, nawykły do korzystania z wszelkich ryzykownych sposobności, zaprzął go natychmiast do roboty.

Wędrowni lama i chłopiec z gminu, pielgrzymując po Indiach, kraju pielgrzymów, mogli na chwilę wzbudzić czyjeś zaniepokojenie, lecz nikomu nie przyszłoby na myśl, by ich podejrzewać o cokolwiek, lub, co gorsza, ograbić.

Kazał sobie podać nową fajerkę do *hookah* i zamyślił się nad tą sprawą. Gdyby się to stało, co mogło się stać najgorszego, tj. gdyby chłopcu przydarzyło się jakieś nieszczęście, to świstek papieru nie mógł obwiniać nikogo. A sam Mahbub wolnym czasem²⁹ udałby się do Umballi i – ryzykując nieco, że wzbudzi nowe podejrzenia – powtórzyłby ustnie swą opowieść osobom zainteresowanym.

Jednakowoż jądrem całej sprawy był raport R-17 i byłby to wyraźny pech, gdyby ów nie doszedł do rąk właściwych. Bądź co bądź, Bóg jest wielki, a Mahbub Ali miał przeświadczenie, że uczynił na razie wszystko, co się dało. Kim był jedyną w świecie istotą, która nigdy go nie okłamała. Byłoby to fatalną skazą w charakterze Kima, gdyby Mahbub nie wiedział, że wobec innych ludzi, dla własnych celów lub w interesach Mahbuba, Kim umiał łgać jak prawy syn Wschodu.

Następnie Mahbub Ali przetoczył się przez seraj ku bramie harpij, podmalowujących sobie oczy i zastawiających sidła na cudzoziemców, i zadał sobie niejaki wysiłek, by odwiedzić

²⁹ wolnym czasem – dziś: w wolnym czasie. [przypis edytorski]

jedną z tych dziewczek; jak miał powody przypuszczać, była ona osobistą przyjaciółką gładkoliciego *pandita* kaszmirskiego, który zaczynał prostodusznego Baltisa na drodze, dopytując się o telegramy. Był to ze strony Mahbuba postępek bardzo niedorzeczny; albowiem wbrew przykazaniom proroka oboje zaczęli pić wonną wódkę, przy czym Mahbub przedziwnie się strąbił, iż rozwarły się wrzeciądze ust jego, zaś następnie jął na chwiejnych od trunku nogach uganiać się za Kwiatem Rozkoszy, aż upadł jak długi na poduszki, gdzie Kwiatuchna z pomocą kaszmirskiego gładysza-*pandita* obszukała go jak najstaranniej od stóp do głowy.

Mniej więcej o tej samej godzinie Kim posłyszał ciche stapania w opuszczonej stajni Mahbuba. Koniarz (rzecz dość dziwna!) nie zarygłował był drzwi, wychodząc, a ludzie jego, otrzymawszy całą owcę z łaski pana, święcili uroczyście dzień powrotu do Indii. Gracki młodzieniec z Delhi, uzbrojony pękiem kluczy, które Kwiat Rozkoszy odwiązała nieprzytomnemu od pasa, przetrząsnął każdą z osobna skrzynkę, tobołek, siennik i kulbakę należącą do Mahbuba, jeszcze dokładniej, aniżeli Kwiat i *pandit* obmacali samego właściciela.

– A ja sędzę – odezwała się pogardliwie Kwiatuchna w godzinę później, opierając się zgiętym łokciem na chrapiącym cielsku – że on jest po prostu tylko pospolitą świnią, afgańskim koniarzem, co myśleć nie umie o niczym, ino o koniach i kobietach. Zresztą on mógł to już dawno wysłać... jeżeli w ogóle było coś podobnego.

– Nie... to, co się tyczy pięciu królów, kryje się pewno przy samym jego czarnym sercu! – rzekł *pandit*. – Czy tam nic nie było?

Człowiek z Delhi, który wszedł w tej chwili, roześmiał się i poprawił zawój.

– Szukałem pod podeszwami jego pantofli, tak jak Kwiatuchna przemyszkowała jego odzież. To nie ten człowiek, ale ktoś inny. Przed moim wzrokiem mało co się ukryje.

– *Oni* nie mówili, że to ten sam człowiek – rzekł *pandit* w zamyśleniu. – Powiedzieli mi tylko: zbadaj, czy to on, ponieważ pokrzyżowano nasze zamysły.

– Ten kraj północny roi się od koniarzy jak stary chałat od wszy. Tam kupczą: Sikandar-chan, Nur Ali beg, Farrukh-szach... wszystko naczelnicy Kafilów – wtrąciła Kwiatuchna.

– Ci jeszcze tu nie zawitali – rzekł *pandit* – musisz ich później usidlić.

– Tfy! – ozwała się Kwiatuchna z głębokim obrzydzeniem, strącając ze swych kolan głowę Mahbuba. – Ale też haruję na te pieniądze! Farrukh-szach to niedźwiedź, Ali beg haraburda, a stary Sikandat-chan... o rety! No wynocha! idę spać. Ten wieprz ani się nie ruszy do białego dzionka.

Gdy Mahbub się ocucił, Kwiatuchna palnęła mu tęgie kazanie o grzechu pijaństwa. Azjaci ani okiem nie mrugną, gdy im się uda wywieść wroga w pole, atoli gdy Mahbub Ali przepłukał sobie gardło, przyciągnął pasa i zataczając się, wyszedł na świat, wyiskrzony jeszcze od zarannych gwiazd – niewiele brakowało,

a byłby się zdradził.

– Ależ to szczenięcy kawał! – mówił sam do siebie. – Jak gdyby pierwsza lepsza dziewczka w Peshawur już nie próbowała tej sztuczki! Ale wykonane było co się zowie! Teraz Bogu tylko wiadomo, ilu tam jeszcze po drodze jest takich, którzy mają polecenia, by zbadać mnie... może nawet nożem. Na tym więc stanęło, że chłopiec musi ruszyć do Umballi... i to kolejną... gdyż pismo jest rzeczą nagłą. Ja pobędę sobie tutaj, przywalając się do Kwiatuchny i trąbiąc wino, jak przystało na koniarza afgańskiego.

Zatrzymał się koło stajni sąsiadującej z jego własną. Ludzie jego spoczywali, ujęci twardym snem – Kim i lama zginęli bez śladu.

– Wstawaj! – trącił jednego ze śpiących. – Gdzie poszli ci, którzy tu dzisiaj nocowali... ten lama i chłopiec? Czy co nie zginęło?

– Nie – stęknął parobek. – Stary wariat zerwał się za drugim pianiem koguta, mówiąc, że chce iść do Benares, i a ten brzdąc kajsi³⁰ go wyprowadził.

– Przekleństwo Allacha na wszystkich niewiernych! – zaklął Mahbub siarczyście i wygramolił się do własnej stajni, mamrocząc coś pod nosem.

W istocie jednak to Kim zbudził lamę – Kim, który, przytknąwszy oko do dziury od sęka pozostałej w przepierzeniu, dostrzegł człowieka baraszkującego wśród skrzyń. Nie mógł

³⁰ kajsi (gw.) – gdzieś. [przypis edytorski]

to być zwykły złodziej, jeżeli przewracał listy, rachunki i siodła... ani też jakiś tam włamywacz, skoro nożykiem rozcinał po bokach podeszwy mahbubowych pantofli lub tak zręcznie wypruwał szwy w kulbakach. W pierwszej chwili Kim miał zamiar narobić rejwachu – wydając przeciągły okrzyk: *choor... choor* (złodziej! złodziej!), który nocą zdoła obudzić cały seraj i rozjaśnić go jak w dzień; lecz po chwili zaczął ostrożniej patrzeć na tę sprawę, a położywszy rękę na amulecie, wysnuł sobie właściwe przypuszczenia.

– Tu chodzi o rzekomy rodowód tego zmyślnego konia – rzekł sobie – właśnie o to, co mam zanieść do Umballi. Lepiej, żebyśmy ruszyli natychmiast w drogę. Ci, którzy nożami przeszukują tobołki, mogą też z kolei poszperać nożem w brzuchu. Ani chybi, w tym być musi jakaś kobieta. Hej, hej! – szepnął do lekko śpiącego staruszka. – Chybaj! Już czas... czas już iść do Benares.

Lama wstał posłusznie i obaj jak cienie wyszli z seraju.

Rozdział II

*Racz się swej pychy wyzbyć (nie lekceważ
Człeka ni zwierząt), skłoń ucho, ponieważ
Z duszą całego Wschodu styczność miewasz
Tu, koło Buddy w Kamakurze.*

Wkroczyli na dworzec kolejowy, co, podobien³¹ warowni, czernił się w szarzyźnie ustępującej nocy. Elektryka lśniła, migotała nad dziedzińcem towarowym, gdzie skupia się wielki handel zbożowy całej północy.

– To dzieło czarta! – rzekł lama, wzdygając się wobec głucho odbrzmiwającej ciemności, wobec połyskiwania szyn między murowanymi pomostami i labiryntu belkowania nad głową. Stanął w olbrzymiej hali kamiennej, brukowanej, zda się, pokotem leżących zwłok... byli to podróżni trzeciej klasy, co nabyli bilety na nocny pociąg i spali w poczekalniach. Dla ludzi wschodnich wszystkie godziny doby są jednakowe i ruch pasażerski tętni w nich zawsze równomiernie.

– Oto tutaj zajeżdżają wozy ogniste. Za tym otworem – tu Kim wskazał kasę biletową – stoi człowiek, który da ci papier na przejazd do Umballi.

– Ależ my jedziemy do Benares – odparł ów przekornie.

³¹ *podobien* – dziś: podobny. [przypis edytorski]

- Wszystko jedno. Więc do Benares. Prędko! Już nadjeżdża!
- Weź moją sakiewkę!

Lama, nie tak otrzaskany z koleją, jak się chlubił, zadrżał na całym ciele, gdy na dworzec wpadł z hukiem pociąg odjeżdżający na południe o godzinie 3 minut 25 rano. Śpiący zerwali się do życia, a dworzec napełnił się wrzawą i rwetesem, nawoływaniem sprzedawczy³² wody i łakoci, krzykami policjantów-krajowców i przeraźliwymi piskami niewiast, co zbierały do kupy koszyki, dziatwę i mężulków.

- To pociąg... zwykły *te-rain*³³. *On tu nie przyjdzie. Zaczekaj.*

Zdumiony niezmierną prostodusznością lamy, który wręczył mu trzosik pełny rupij, Kim poprosił o bilet do Umballi i uiścił należność. Zaspany urzędnik chrząknął i rzucił mu bilet do najbliższego przystanku, odległego tylko o sześć mil.

– Nie! – ozwał się Kim, odczytując go z wyszczerzonymi od śmiechu zębami. – Na to wziąć można chłopca, ale ja jestem z miasta Lahory. Mądrze to było zrobione, *babu* (panie)! Dajże mi teraz bilet do Umballi.

Babu spojrzał nań spode łba i dał należyty bilet.

– A teraz jeszcze drugi do Amritzar – rzekł Kim, który nie umiałby trwonić pieniędzy Mahbub Alego na coś takiego niedorzecznego jak płatna jazda do Umballi. – Cena wynosi tyle a tyle. Należy się akurat tyle drobnych reszty. Znam się na podróżowaniu koleją... Nigdy żaden *yogi* nie potrzebował *cheli*

³² *sprzedawacz* – dziś: sprzedawca. [przypis edytorski]

³³ *te-rain* – przekrecone z ang. *train*: pociąg. [przypis redakcyjny]

tak jak ty – ciągnął dalej wesoło do zahukanego lamy. – Gdyby nie ja, kazaliby ci wysiadać w Biau Mir. Tędy droga! Chybaj!

Oddał mu pieniądze, zatrzymując sobie jedynie po *annie* od każdej rupii należnej za bilet do Umballi jako porękawiczne³⁴... odwieczne tu w Azji porękawiczne.

Lama znarowił się znowu u otwartych drzwi napchanego wagonu trzeciej klasy.

– Czy nie lepiej byłoby iść? – ozwał się bojaźliwie.

Opasły rzemieślnik sikhijski wytknął z wagonu brodaty łeb.

– Czy on się boi? Nie bójże się! Pamiętam czasy, gdy i ja się bałem pociągu. Wejdziesz! Przecież to rząd zbudował!

– Ja się nie boję – rzekł lama. – Czy macie tam miejsce dla dwóch?

– Nawet mysz nie znajdzie tu miejsca – pisnęła żona zamożnego rolnika, hinduskiego Dżata z bogatego okręgu Dżullundur. – Nasze pociągi nocne nie są tak wygodnie urządzone jak dzienne, gdzie płeć męska i żeńska jadą w oddzielnych wagonach.

– Ach, matko mego syna, możemy zrobić im miejsce – odezwał się jej małżonek w błękitnym zawoju. – Podnieś dziecko. Czy nie widzisz, że to człowiek święty.

– A mój podołek zawalony jest po siedemkroć siedemdziesięcioma tobołkami! Czemuż nie poprosisz go, by mi siadł na kolanach, bezwstydniku? Ale wy, mężczyźni, zawszeście

³⁴ *porękawiczne* – opłata dla pośrednika, przez którego *ręce* (stąd nazwa) przechodzi transakcja między dwiema innymi osobami. [przypis edytorski]

jednacy!

Rozejrzała się wokoło, szukając poparcia. Lekkich obyczajów dziewczyna z Amritzar, siedząca przy oknie, prychnęła nosem pod ciężką namitką³⁵.

– Wchodźcie! wchodźcie! – krzyknął tłusty lichwiarz hinduski, biorąc pod pachę zmietoszoną książkę rachunkową, owiniętą w płótno. – Dobrze to być uprzejmym dla ubogich – dodał z obleśnym uśmiechem.

– Tak, na siedem procent miesięcznie wraz z zastawem nieurodzonego jeszcze cielęcia! – rzekł młody żołnierz dograński, jadący na urlop na południe. Wszyscy się roześmiali.

– Czy pociąg jedzie do Benares? – zapytał lama.

– Juści! Po cóż byśmy tu przyszli? Wchodź albo nas zostawia! – krzyczał Kim.

– Widzieliście! – zapiszczała dziewczka z Amritzar. – On nigdy nie wsiadał do pociągu. Patrzajcie, ludzie!

– No, pomóżcie mu! – rzekł kmieć, wysuwając potężną ogorzałą łapę i wciągając nieboraka. – Już po całej parady, ojczu!

– Ale... ale... siadę na ziemi. Byłoby to wbrew regule, gdybym usiadł na ławce – rzekł lama. – Zresztą nogi mi cierpną.

– Powiadam – zaczął lichwiarz, krzywiąc usta – że nie ma takich prawideł przyzwoitego życia, do których naruszenia nie zmuszałyby nas te koleje! Na ten przykład, siedzimy tu jeden

³⁵ *namitka* – kobiece nakrycie głowy, chusta okrywająca całą głowę wraz z czołem i ramionami. [przypis edytorski]

obok drugiego, choć należymy do wszelkich kast i narodów.

– Tak, i nawet obok największych bezwstydników – odezwała się baba, patrząc złośliwie na dziewczkę z Amritzaru, strzelającą oczyma w stronę młodego sipaja.

– Mówiłem ci przecież, że mogliśmy jechać wasągiem³⁶ po gościńcu – rzekł małżonek – przez co zaoszczędzilibyśmy nieco grosza.

– Tak... i dwa razy więcej, niżby się zaoszczędziło, wydalibyśmy na jadło przez drogę. Mówiło się o tym dziesięć tysięcy razy!

– Tak, i dziesięcioma tysiącami języków! – mruknął chłop.

– Niechże Bóg ma w swej opiece nas, biedne kobiety, jeżeliby nie było nam wolno się wygadać. Oho! Ten to jest z tego rodzaju ludzi, co to ani spojrzy na kobietę, ani do niej nie zagada! – (Albowiem lama, skrępowany prawidłami zakonu, nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.) – A czy jego żak jest taki sam?

– Nie, matko – wypalił Kim bez namysłu. – Wcale nie jestem taki, gdy kobieta jest ładna, a przede wszystkim litościwa dla głodnego.

– Odpowiedź godna żebraka – rzekł *sikh*, śmiejąc się. – Samaś wywołała wilka z lasu, siostró!

Kim nadstawił ręce błagalnie.

– A dokąd ty się trajdasz? – zapytała kobieta, podając mu

³⁶ *wasag* – prosty, czterokołowy powóz odkryty używany przez chłopów, bez resorów lub na półresorach poprzecznych, z nadwoziem drabinkowym opartym bezpośrednio na osiach. [przypis edytorski]

połowę placka, który wydobyła z zatłuszczonego zawiniątka.

– Aż do Benares.

– Pewności kuglarze? – domyślał się młody wojak. – Nie pokazalibyście jakich sztuczek dla zabicia czasu? Czemu ten żółty człowiek ani ust nie otworzy?

– Dlatego – rzekł Kim wyniośle – że jest to człek święty i myśli o rzeczach, które są ci niedostępne.

– Niech sobie myśli zdrów! My, *sikhowie* loodhiańscy – wypowiedział to głosem dobitnym – nie zaprzatamy sobie głowy mądrościami. My walczymy!

– Bratanek mojej siostry jest *naikiem* (kapralem) w tym pułku – rzekł spokojnie rzemieślnik sikhijski. – Jest tam też kilka kompanii dograńskich.

Żołnierz przeszył go wzrokiem, gdyż Dogra jest z innej kasty niż *sikh*; bankier zachichotał.

– Dla mnie oni wszyscy jednacy – ozwała się dziewczka z Amritzaru.

– O, temu wierzymy! – parsknęła złośliwie wieśniaczka.

– Nie... ale ci, którzy z bronią w ręku służą rządowi, stanowią, bądź co bądź, jedno bractwo. Jest jedno braterstwo broni, ale poza tym... – rozejrzała się trwożnie dokoła – związek *Pulion*... pułk... he?

– Brat mój służy w pułku Jatów – rzekł wieśniak. – Dograsy to dobrzy ludzie.

– Tego przynajmniej zdania są twoi *sikhowie* – rzekł żołnierz, spojrzawszy z ukosa na spokojnego starca w kącie. – Twoi

sikhowie tak myśleli, gdy dwie nasze kompanie nie dalej jak trzy miesiące temu przybyły im z pomocą pod Pirzai Kotal przeciwko ośmiu chorągwiom afrydyjskim, stojącym na szczytach gór.

Jął opowiadać dzieje bojów pogranicznych, w których dograńskie kompanie *sikhów* loodhiańskich dzielnie się spisały. Dziewka z Amritzaru uśmiechnęła się, gdyż wiedziała, że opowieść miała na celu zdobycie uznania z jej strony.

– Niestety! – ozwała się na koniec kmiotka. – Więc ich wioski zgorzały, a małe dzieci zostały bez dachu?

– Oni oszelmowali³⁷ naszych poległych. Przyplacili to porządnie, bo my, *sikhowie*, daliśmy im tęgą nauczkę. Tak to było! Czy to już Amritzar?

– Tak, i tu przecinają bilety – rzekł bankier, obmacując kaletkę u pasa.

Światło lamp już pobladło w rannym brzasku, gdy konduktor mieszanej rasy zaczął obchodzić wagon. Oglądanie biletów jest pracą nader żmudną na Wschodzie, gdzie ludzie ukrywają je po najosobliwszych schowkach. Gdy Kim pokazał swój bilet, kazano mu wyjść z wagonu.

– Ależ jadę do Umballi – sprzeciwił się. – Jadę z tym świętym człowiekiem.

– Nie pojedziesz ani do diabła zielonego, póki tu jestem. Bilet jest tylko do Amritzar. Fora ze dwora!

Kim zalał się łez strugą, upierając się, że lama jest jego ojcem i matką, on zaś sam jest podporą jego lat zgrzybiałych,

³⁷ *oszelmować* – okaleczyć; tu: okraść. [przypis edytorski]

przeto staruszek zginie bez jego opieki. Cały wagon jął błagać konduktora o litość (bankier był tu szczególnie wymowny) – lecz nieubłagany kolejarz wywłókł Kima na peron. Lama zmrużył oczy, niedowidząc, i nie mógł pojąć, co się stało; Kim podniósł głos i zaczął beczeć, nie odchodząc spod okna wagonu.

– Jestem bardzo biedny. Ojciec mi umarł, matuś pomarła. O litościwi ludkowie, jeżeli tutaj pozostanę, któż zaopiekuje się tym starowiną?

– Co... to ma znaczyć? – powtarzał lama. – On musi jechać do Benares. On musi jechać ze mną. To mój *chela*. Jeżeli trzeba zapłacić...

– Bądźcie cicho! – szepnął Kim. – Czy jesteśmy radzami, by wyrzucać pieniądze, gdy świat tak jest miłosierny?

Dziewka z Amritzaru wysiadała właśnie z tobołkami; na nią to Kim zwrócił baczną uwagę. Wiedział, że damy i tej profesji bywają hojne.

– Bilet... maleńki *tikkut*³⁸ do Umballi... O kruszycielko serc! – (ona zaśmiała się). – Nie maszże litości?

– Czy święty człowiek przybywa z północy?

– Z bardzo, bardzo dalekiej północy – krzyknął Kim – aż z gór!

– Tam na północy jest śnieg pośród sosen... śnieg jest wśród gór. Moja matka była z Kulu. Naści, kup sobie bilet. Poproś go o błogosławieństwo.

– Dziesięć tysięcy błogosławieństw! – darł się Kim piskliwie.

³⁸ *tikkut* – przekreślony wyraz ang. *ticket*: bilet. [przypis redakcyjny]

– O Najświętszy, oto kobieta obdarzyła nas litościwie tak, iż mogę jechać z tobą... kobieta o złotym sercu... Lecę po *tikkut*.

Dziewka podniosła oczy na lamę, który bezwiednie wyszedł za Kimem na peron. Ów pochylił głowę, by jej nie widzieć, i wymamrotał coś po tybetańsku, gdy minęła go wraz z tłumem.

– Lekko przyszła... lekko odeszła! – rzekła złośliwie wieśniaczka.

– Zdobyła sobie zasługę – odparł lama. – Pewno to była mniszka.

– W samym tylko Amritzar jest dziesięć tysięcy takich mniszek. Wracaj, dziadku, albo cię pociąg odjedzie³⁹! – krzyczał bankier.

– Nie tylko wystarczyło na bilet, ale nawet się okroiło na kęs jadła – odezwał się Kim, dając susa na swoje miejsce. – Wcinaj teraz, Najświętszy. Patrz, już dzień nadchodzi!

Mgły poranne, to złote, to rumiane, szafranowe i różowe, snuły się w dal po płaskich, zielonych równinach. Cały Pendżab, urodzajny i zamożny, rozciągał się w blasku promiennego słońca. Lama wzdygał się nieco, gdy migać zaczęły słupy telegraficzne.

– Wielka jest szybkość pociągu – rzekł bankier z uśmiechem protekcjonalnym. – Odjechaliśmy dalej od Lahory, niżbyś zdołał przejść w ciągu dwóch dni. Wieczorem przyjedziemy do Umballi.

– A i stamtąd jeszcze daleko do Benares – rzekł lama posepnie, mrucząc coś nad ciastkami, które podał mu Kim.

³⁹ albo cię pociąg odjedzie – albo ci pociąg odjedzie. [przypis edytorski]

Wszyscy rozwinęli węzélki i wzięli się do śniadania, po czym bankier, wieśniak i żołnierz nabili sobie lulki i napełnili cały przedział duszącym, gorzkim dymem, spluwając, kaszląc i gawędząc. *Sikh* i wieśniaczka żuli *pan* (mieszanina liści i orzeszków betelu); lama zażywał tabakę i liczył różaniec, natomiast Kim, skuliwszy nogi pod siebie, uśmiechał się, myśląc z rozkoszą o nasyceniu żołądka.

– Jakie rzeki macie koło Benares? – zagadnął nagle lama, zwracając się do całego wagonu.

– Jest Ganges – odparł bankier, gdy ustał pokątny śmiech.

– A jakie jeszcze inne?

– Jakaż inna, jeżeli nie Ganges?

– Nie... bo ja myślałem o pewnej rzece uzdrawiającej.

– To właśnie Ganges. Kto się w nim wykąpie, staje się czysty i idzie do bogów. Trzykrotnie odbywałem pielgrzymkę nad Ganges! – rozejrzał się dumnie wokoło.

– Było ci to potrzebne! – ozwał się oschle młody sipaj, a śmiech pasażerów spadł tym razem na bankiera.

– Czysty... by powrócić znów do bogów... – mamrotał lama.

– I na nowo podjąć bieg żywotów... i być wciąż przykutym do Koła... – potrząsnął głową markotnie. – Ale może to pomyłka. Któż więc stworzył Ganges na początku?

– Bogowie. Jakiegoś ty wyznania? – zapytał przerażony bankier.

– Wyznaję Prawo... najwznioślejsze Prawo. A więc to bogowie stworzyli Ganges? Jacyż to byli bogowie?

Wszyscy podróżni spojrzeli nań ze zdumieniem. Było rzeczą niepojętą, jak ktoś mógł nie słyszeć o Gangesie.

– Czym... czymże jest twój bóg? – rzekł na koniec lichwiarz.

– Słuchajcie! – rzekł lama, przekładając różaniec do ręki. – Słuchajcie, bo oto mówię o Nim! O ludu Indii, słuchaj!

Zaczął gwarą urduską opowiadać o władcy Buddzie, lecz poniosły go myśli i z wolna przeszedł w narzecze tybetańskie, przytaczając długie, brzękliwe teksty z książki chińskiej, opisującej życie Buddy. Łagodne, wyrozumiałe pospólstwo patrzyło nań z szacunkiem. Całe Indie pełne są ludzi świętych, bełkocących kazania religijne w obcej mowie, wstrząsanych i trawionych ogniem żarliwości, marzycieli, gadułów, jasnowidzów. Tak było od wieków i będzie do końca.

– Uhm! – ozwał się żołnierz z pułku *sikhów* loodhiańskich. – W Pirzai Kotal obozował tuż koło nas pułk mahometański; ich duchowny (był on, o ile pamięć mnie nie zawodzi, *naikiem*), gdy go coś napadło, mówił też prorocтва. Ale szaleńcy są pod opieką bożą. Oficerowie niejedno wybaczaali temu człowiekowi.

Lama powrócił do gwary Urdu, uświadomiwszy sobie, że znajduje się w obcym kraju.

– Posłuchajcie opowieści o strzale, którą nasz Pan wyrzucił z łuku.

To było im bardziej do smaku, więc słuchali ciekawie jego bajania.

– A teraz, o ludu Indii, idę szukać tej rzeki. Czy nie wiecie przypadkiem, jak mógłbym tam dotrzeć, gdyż wszyscy

podlegamy złym przypadłościom?

– To *Gunga*... tylko *Gunga* (Ganges)... który zmywa grzechy... – poszedł pomruk po całym wagonie. – Bądź co bądź, mamy tu dobrych bogów koło Jullundur – odezwała się wieśniaczka, wyglądając przez okno. – Patrz no, jak pobłogosławili zbiory.

– Odszukiwanie każdej rzeki w Pendżabie niełatwym jest przedsięwzięciem – rzekł jej mąż. – Mnie wystarczy strumień, który zostawia mulny osad na mych gruntach, i dziękuję za to Bhumii, bóstwu pieleszy domowych.

Wzruszył muskularnym, ogorzałym ramieniem.

– Czy myślisz, że nasz Pan zaszedł tak daleko na północ? – rzekł lama, zwracając się w północną stronę.

– Być może – odparł Kim tonem pochlebiającym, cyknąwszy na podłogę śliną czerwoną od soku z liści betelu.

– Ostatnim z wielkich – rzekł *sikh* tonem wyższości – był Sikander Julkarn (Aleksander Wielki). On wybrukował ulice Jullundur i zbudował wielki zbiornik wody koło Umballi. Te bruki zachowały się po dziś dzień, a cysterna też się tam znajduje. O twoim bogu zaś nigdy nie słyszałem.

– Zapuć długie włosy i mów po pendżabsku – przemówił żartobliwie do Kima młody żołnierz, przytaczając przysłowie północne. – Oto wszystko, na co stać *sikha*! – ale tego nie dopowiedział nazbyt głośno.

Lama westchnął i skurczył się w sobie, tworząc żółtawą, bezkształtną bryłę. W przerwach rozmowy można było posłyszeć

stłumione mamrotanie: *Om mani pad me hum! Om mani padme hum!*... i poszczekiwanie drewnianych gałek różańca.

– Męczy mnie to – rzekł w końcu. – Chyżość jazdy i turkot kół wyczerpuje mnie... Poza tym, mój *chelo*, myślę, że możemy już przejechali ową rzekę.

– Cichajże, cichaj! – rzekł Kim. – Czyż ta rzeka nie znajduje się koło Benares? Jesteśmy jeszcze daleko od kresu podróży.

– Ale... jeśli nasz Pan poszedł na północ, tedy może to być jedna z tych rzeczulek, któreśmy przebyli.

– Nie wiem.

– Lecz tyś mi był zesłany, czyż nie byłeś mi zesłany?... za zasługi, jakie sobie zdobyłem tam... w Such-zen. Wyszedłeś spoza armaty... miałeś dwie twarze... i dwa ubrania...

– Ciszej! Nie należy tutaj mówić o tym... – szepnął Kim. – Byłem tam tylko w jednej postaci. Pomyśl jeszcze, a przypomnisz sobie. Chłopiec... chłopiec hinduski... przy wielkiej, zielonej armacie...

– Lecz czyż nie było tam również Anglika z białą brodą... świątnika pomiędzy obrazami... który jeszcze mnie bardziej utwierdził w przekonaniach co do Rzeki Strzały?

– On... my... myśmy poszli do Ajaib Gher w Lahorze, by się tam pomodlić do bogów – wyjaśnił Kim przysłuchującemu się towarzystwu. – Sahib z Domu Cudów rozmawiał z nim... tak, naprawdę... jak z bratem... Jest to człek bardzo świątobliwy, hen spoza gór. Usiądźże! Niezadługo będziemy w Umballi.

– Ależ moja rzeka... rzeka uzdrowienia?...

– Potem, jeżeli twoja wola, będziemy na piechty⁴⁰ uganiać się za tą rzeką. Nie ominiemy niczego... nawet najmniejszej strugi w przekopie.

– Ale i ty masz czegoś poszukiwać?

Lama uradowany, że ma tak dobrą pamięć, wyprostował się jak struna.

– A juści! – odrzekł Kim, basując mu. Chłopak był wielce szczęśliwy, że wyrwał się w świat szeroki, gdzie mógł żuć *pan* i widzieć dobrze usposobionych ludzi.

– To był byk... Ryży Byk, co ma przyjść i pomagać ci... i porwać cię... dokąd?... wyleciało mi z pamięci. Ryży Byk w zielonym polu... nieprawdaż?

– Nie, nie porwie mnie nigdzie – rzekł Kim. – Opowiedziałem ci tylko taką bujdę.

– Co takiego? – wyrwała się wieśniaczka, pochylając się naprzód, aż zabrzękły⁴¹ bransolety na jej ramieniu. – Czy obaj śnicie na jawie? Ryży Byk na zielonym polu, który porwie cię do nieba... czy też co? Czy było to jasnovidzenie? Czy ktoś gadał prorocтва? Dyć my mamy Ryżego Byka w wiosce za miastem Jullundur... i on lubi się pasać na najzieleńszym z naszych pól!

– Daj kobiecie babską klechdę, a krawczykowi⁴² włókno i listek, to ci utkają różne dziwa! – rzekł *sikh*. – Wszyscy święci

⁴⁰ *na piechty* – dziś: na piechotę. [przypis edytorski]

⁴¹ *zabrzękły* – dziś: zabrzączały. [przypis edytorski]

⁴² *krawczyk* – zwany tkaczem, ptak żyjący w Indiach i sporządzający sobie gniazdko z pozyskiwanych liści. [przypis tłumacza]

ludzie ciągiem roją, a ich uczniowie, idąc za mistrzami, też nabywają tej właściwości.

– A więc Ryży Byk... czyż nie tak? – powtórzył lama. – Może w poprzednim życiu pozyskałeś zasługę, a byk przyjdzie, by cię wynagrodzić.

– Nie... nie... była to tylko bajka, którą ktoś mi opowiedział... ot, żeby sobie zażartować. Mniejsza z tym! Lecz koło Umballi ja będę szukał Byka, a ty zaś możesz dopytywać się o rzekę i ochłonać od turkotu pociągu.

– Może Byk wie o tym... że jest zesłany, by prowadzić nas obu – rzekł lama, pełen dziecięcej nadziei, po czym zwrócił się do obecnych, wskazując Kima: – Ten został mi zesłany dopiero wczoraj... Jak sądzę, nie jest on z tego świata.

– Spotykałam już wielu dziadów, a i świątków też niemało, aliści takiego *yogi* ani takiego żaka jeszcze nie zdarzyło mi się widzieć! – rzekła baba.

Jej mąż stuknął się z lekka palcem w czoło i uśmiechnął się. Lecz niebawem, gdy lama zabierał się do jedzenia, częstowali go tym, co mieli najlepszego.

Na koniec – pomęczeni, senni i zakurzeni – wjechali na miejski dworzec w Umballi.

– Zatrzymujemy się tutaj z powodu procesu – odezwała się do Kima wieśniaczka. – Mieszkamy u młodszego brata stryjecznego mojego męża. W podwórzu znajdzie się tam ciupka dla twego *yogi* i dla ciebie. Czy... czy on udzieli mi błogosławieństwa?...

– O mężu święty! Kobieta o złotym sercu daje nam nocleg.

Ten kraj południowy jest ziemią wielce gościnną. Widzisz, jak nas wspierano od samego świtu?

Lama, błogosławiąc, pochylił głowę.

– Sprowadzać tych sowizdrzałów na kark bratu stryjecznemu... – zaczął chłop, zakładając na ramię ciężką łęgę bambusową.

– Twój młodszy brat stryjeczny jest winien coś niecoś stryjecznemu bratu mego ojca jeszcze za ucztę weselną swej córki! – postawiła się okoniem jego połowica. – Niechajże im da żreć na rachunek tego długu. *Yogi* pójdzie na żebry, w to nie wątpię.

– A ino! Pójdę żebrać na niego – rzekł Kim, myśląc tylko o tym, żeby dać lamie jakie schronisko na noc, ażeby sam mógł tymczasem odszukać Mahbubowego Anglika i pozbyć się rodowodu siwego ogiera.

– A teraz – odezwał się, gdy lama znalazł przystań w podwórku wystawnej kamienicy hinduskiej poza koszarami – ja odejdę na chwilę... żeby... żeby kupić na rynku coś do jedzenia. Nie oddalaj się stąd, dopóki nie wrócę.

– Powrócisz? Na pewno powrócisz? – tu starzec uchwycił go w przegubie. – I czy powrócisz w tej samej postaci? Czy już za późno, by jeszcze dziś w nocy wyruszyć na poszukiwanie rzeki?

– Za późno i za ciemno. Uspokój się. Pomyśl, ile drogi mamy już za sobą... jużemy o sto *kos* odjechali od Lahory.

– Tak... a jeszcze dalej od mego klasztoru... O rety! Jakiż to wielki i okropny kawał świata!

Kim wysmyknął się i dunął w miasto. Nigdy chyba tak niepozorna figurka nie niosła uwiązane do szyi losu własnego i kilkudziesięciu tysięcy innych ludzi. Wskazówki Mahbuba Alego pozostawiały mu niewiele wątpliwości co do domu, w którym mieszkał rzeczony Anglik; w przekonaniu umocnił go fornał, wracający dwukolną bryczuszką z klubu. Pozostawało jedynie rozpoznać daną osobistość, przeto Kim przedarł się przez żywopłot i ukrył się w kępie bujnej trawy tuż koło werandy. Dom jarzył się od świateł, a służba uwijała się dokoła stołów zastawionych kwiatami, szkłem i srebrem. Naraz wyszedł Anglik ubrany na biało i czarno i nucił sobie jakąś melodię. Było zbyt ciemno, by można było rozeznaczyć jego twarz, więc Kim, na sposób żebraków, chwycił się starego fortelu.

– Obrońco ubogich!

Anglik odwrócił się w stronę, skąd go doleciał głos.

– Mahbub Ali mówi...

– Aha! Cóż mówi Mahbub Ali?

Nie starał się nawet patrzeć na mówiącego i to potwierdziło domysły Kima.

– Rodowód białego ogiera jest całkowicie ustalony.

– Jakież dowód na to?

Anglik smagał laseczką po żywopłocie róż, rosnącym wzdłuż alei.

– Mahbub Ali dał mi ten dowód.

Kim pstryknął palcami, wyrzucając do góry świstek zwiniętego papieru, który upadł na ścieżkę obok mężczyzny; ten

przystąpił go nogą, ponieważ w tej chwili koło węgła przechodził ogrodnik. Gdy sługa się oddalił, mężczyzna podniósł zwitek z ziemi i upuścił rupię (Kim wyróżnił jej brzęk), po czym ani się nie obejrzawszy powlókł się do domu. Kim czym prędzej podniósł z ziemi pieniądze; lecz wbrew nawyczkom swego życia miał w sobie na tyle krwi irlandzkiej, że poczytywał srebro za najmniejszy zysk w każdej grze. Nade wszystko pragnął na własne oczy obaczyć skutki swego działania; toteż zamiast dać drapaką, położył się plackiem w trawie i przyczołgał się pod sam dom.

Indyjskie *bungalow* bywają otwarte na przestrzał, więc chłopak zobaczył, że Anglik wszedł do małej szatni w rogu werandy, gdzie było coś w rodzaju biura zawalonego bezładnym stosem papierów i zatłoczonego szafkami na dokumenty; tam usiadł i zaczął zgłębiać doniesienie Mahbuba Alego. Jego twarz, oświecona jasnym płomieniem lampy, mieniła się i posepniała, a Kim, nawykły jak każdy żebrak do obserwowania wyrazu twarzy ludzkich, poznał, że coś się święci.

– Willu! Willu, mój drogi! – zawołał głos kobiety. – Powinieneś być w salonie. Oni tu będą za chwilę.

Mężczyzna czytał wciąż z uwagą.

– Willu! – ozwał się ten sam głos w pięć minut później. – *On* już przyjechał. Słyszę już tętent jeźdźców w alei.

Mężczyzna wybiegł z gołą głową, właśnie w porę, gdy wielka landara, za którą jechało czterech kawalerzystów-krajowców, zatrzymała się przed gankiem, a z niej wyszedł wysoki brunet,

wyprostowany jak strzała, wyprzedzany przez młodego oficera, który śmiał się z zadowoleniem.

Kim leżał plackiem na brzuchu, niemal dotykając wysokich kół pojazdu. *Jego* człowiek i czarny przybysz zamienili z sobą dwa zdania.

– Pewnie, panie łaskawy – ozwał się z ochotą młody oficer. – Wszystko na bok, gdy chodzi o konia.

– Nie zajmie to nam więcej nad dwadzieścia minut czasu – rzekł człowiek, o którego Kimowi chodziło. – Możesz czynić honory domu... zabawiać ich... i co tam będzie potrzeba.

– Każ poczekać jednemu z konnych – rzekł wysoki mężczyzna i obaj odeszli do szatni w chwili, gdy powóz ruszył z powrotem. Kim zobaczył ich głowy pochylone nad posyłką Mahbuba Ali i słyszał ich głosy – jeden cichy i pełen szacunku, drugi dobitny i stanowczy.

– Nie jest to kwestia tygodni, ale dni... niemal godzin – mówił starszy. – Oczekiwałem tego od dłuższego czasu, lecz to – tu plasnął ręką w papier przysłany przez Mahbuba – jest potwierdzeniem mych domysłów. Czy i Grogan jest tu dziś na kolacji?

– Tak jest, a Macklin również.

– Doskonale. Pomówię z nimi sam. Sprawa będzie, oczywiście, przedstawiona na Radzie, lecz jest to taki wypadek, w którym usprawiedliwione byłoby natychmiastowe podjęcie akcji przez nas. Trzeba ostrzec brygady w Pind i Peshawur. Wprowadzi to nieporządek w luzowaniu straży pogranicznej, ale

na to nie ma rady. Nasza w tym winna, żeśmy nie rozbili ich doszczętnie za pierwszym razem. Osiem tysięcy wystarczy.

– A jak z artylerią?

– Muszę się porozumieć z Macklinem.

– Więc to ma być wojna?

– Nie. Ukaranie. Gdy jest się skrepowanym działalnością swego poprzednika...

– Ale C-25 mógł skłamać.

– On dostał wieści od innych. Ściśle rzecz biorąc, oni już przed sześciu miesiącami pokazywali pazury. Lecz Devenishowi się zdawało, że są pewne widoki pokoju. W rzeczywistości oni tylko skorzystali z tego, by się wzmocnić. Wyślij zaraz te telegramy... według nowego klucza, nie według starego... moje i Whartona. Sądzę, że nie powinniśmy dać paniom dłużej czekać na siebie. Resztę możemy obmyślić przy cygarach. Myślałem, że tak się stanie... To kara... nie wojna.

Gdy żołnierz klusem odjechał, Kim przeczołgał się na tyły domu, gdzie polegając na swych doświadczeniach z Lahory spodziewał się znaleźć strawę... i wyjaśnienia. W kuchni rojno było od krzątających się kuchcików, z których jeden go kopnął.

– Aj! – krzyknął Kim, udając łzy. – Przyszedłem tu jeno pomyć naczynia, w zamian za wyzerkę.

– Cała Umballa przychodzi tu po to. Idźże sobie precz! Zaraz poniosę zupe. Czy myślisz, że my, którzy służymy u Creighthona sahiba, potrzebujemy pomocy obcych kuchcików podczas wielkiej kolacji?

– O, to jakaś wielka wieczerza! – rzekł Kim, przyglądając się talerzom.

– Nie dziwota! Gościem, którego mamy zaszczyt przyjmować, jest ni mniej ni więcej tylko sam Jang-Lat Sahib (głównodowodzący).

– Oho! – rzekł Kim gardłowym głosem, doskonale oddając nutę podziwu. Dowiedziawszy się tego, o co mu szło, skorzystał z chwili, gdy kuchta się odwrócił, i odszedł.

– I tyle zachodów – rzekł do siebie, myśląc, jak zwykle, po hindostańsku – o głupi koński rodowód! Mahbub Ali powinien by chodzić do mnie na naukę kłamstwa. Dotychczas, ilekroć nosiłem jakieś zlecenia, była w to wmieszana kobieta. Teraz chodzi o mężczyzn. Tym lepiej. Ten wysoki mówił, że pošłą wielkie wojsko, by kogoś... gdzieś... ukarać... wyprawia wieści do Pindi i Peshawur. Są tam i armaty... Gdybym też podkraść się bliżej! To niebywałe nowiny!

Powróciwszy do domu, zastał stryjecznego brata wieśniaka omawiającego z wieśniakiem, jego żoną i kilkoma przyjaciółmi cały proces rodzinny z wszystkimi jego szczegółami i kruczkami, natomiast lama drzemał. Po wieczerzy ktoś podał mu fajkę chłodnicową, a Kim czuł się niemal mężczyzną, gdy wytrząsał ją nad gładką łupiną kokosową, wyciągnąwszy nogi poza próg obłany światłem księżycowym i od czasu do czasu trajkocąc językiem o byle czym. Gospodarze byli dlań bardzo uprzejmi, gdyż wieśniaczka opowiedziała im o tym, jak Kim miał ujrzeć Ryżego Byka, i o tym, iż prawdopodobnie pochodził

z innego świata. Ponadto i lama był wielką i godną szacunku osobliwością. Później wśliznął się do izby kapłan rodziny, stary, dobrotliwy bramin sarsucki i, rzecz zrozumiała, rozpoczął spór teologiczny celem wywarcia wrażenia na krewniakach. Ma się rozumieć, że w rzeczach wiary stali oni, jak jeden mąż, po stronie kapłana, wszakoż lama był tu dziś gościem i nowością. Jego potulna uprzejmość i zawrotne cytaty chińskie, brzmiące jak zaklęcia, zachwycaly ich niepomrotnie; on zaś w tej atmosferze sympatii i prostoty rozwijał się, niby lotos samego Bodhisata, opowiadając o swym życiu wśród wielkich gór w Such-zen, przed ową chwilą, w której (jak mówił) „powstał, by szukać oświecenia”.

Zgadalo się także i o tym, że w owych dniach żywota ziemskiego był on mistrzem w stawianiu horoskopów i przepowiadaniu przyszłości. Kapłan skierował rozmowę na i opisywanie sposobów wróżenia; każdy z rozmówców wymieniał nazwy planet, których drugi nie mógł zrozumieć, i wskazywali sobie wielkie gwiazdy żeglujące w nocnej pomroczy. Dzieci gospodarzy targaly bezkarnie jego różaniec, on zaś na śmierć zapomniał o przepisach zabraniających patrzeć na kobiety – tak się rozgadał o nietopniejących śniegach, urwiskach, zatarasowanych wąwozach, o odludnych turniach, kędy⁴³ ludzie znajdują szafiry i turkusy, tudzież o onej przedziwnej drodze górskiej, która w końcu prowadzi do samych Wielkich Chin.

– Cóż myślisz o tym człeku? – rzekł na uboczu rataj do

⁴³ *kędy* (daw.) – gdzie. [przypis edytorski]

kapłana.

– Święty człowiek... istotnie święty... Jego bogowie nie są bogami, ale jego stopy kroczą właściwą Drogą – brzmiała odpowiedź. – A jego sposoby przepowiadania, choć na tym się nie znasz, są prawdziwe i niezawodne.

– Powiedz mi – rzekł niedbale Kim – czy odnajdę Ryżego Byka w zielonym polu, jak mi obiecywano?

– Co wiesz o godzinie swych urodzin? – zapytał go kapłan, rosnąc w dumę.

– Było to między pierwszym i drugim paniem kurów w noc pierwszego maja.

– Jakiego roku?

– Nie wiem; ale w godzinę, kiedy zakwiliłem po raz pierwszy, zdarzyło się wielkie trzęsienie ziemi w Srinagur, w Kaszmirze.

Kim wiedział o tym od kobiety, która miała nad nim pieczę, ona zaś wiedziała od Kimballa O'Harry. Trzęsienie ziemi wówczas dało się odczuć i w Indiach, a data jego na długo była w Pendżabie podstawą wszelkich obliczeń.

– Ojej! – ozwała się z ferworem jedna z kobiet, jakby ją coś piknęło. Ta okoliczność zdawała się jeszcze bardziej potwierdzać niesamowite pochodzenie Kima. – Czy to nie wtedy urodziła się komuś córka...

– A jej matka w ciągu czterech lat dała swemu mężowi czterech chłopaków... wszystko, zdaje się, chłopaki... – krzyczała wieśniaczka siedząca w cieniu poza kółkiem obecnych.

– Nikt wychowany w mądrości – rzekł kapłan – nie zapomni,

jak ustawione były w swych domach planety w ową noc. – Zaczął rysować coś na piasku podwórka. – W każdym razie ty masz widoki na przyszłość, patrząc na nie ze strony domu Byka. Jak brzmi twoja przepowiednia?

– Pewnego dnia – rzekł Kim uradowany zajęciem, jakie obudzał – mam stać się wielkim człowiekiem za sprawą Ryżego Byka na zielonym polu; przedtem jednak przyjdą dwaj ludzie, którzy wszystko przysposobią.

– Tak; zawsze w ten sposób rozpoczynają się jasnowidzenia... Gęsta pomroka, która powoli się rozjaśnia... niebawem wchodzi ktoś z miotłą, przygotowując miejsce. Potem rozpoczyna się zjawia. Dwaj ludzie... powiadasz? Tak, tak! Słońce, opuszczając znak Byka, wstępuje pod znak Bliźniąt. Stąd to owi dwaj ludzie w proroctwie. Zbadajmy to. Daj mi pręt, chłopcze.

Zmarszczył brwi, bazgrał na piasku jakieś dziwaczne znaki, zamazywał i znów rysował ku zdumieniu wszystkich, z wyjątkiem lamy, który, wiedziony poczuciem delikatności, ani myślał wtrącać się do tego. Po upływie pół godziny bramin odrzucił od siebie pręt i chrząknął.

– Hm! Oto co mówią gwiazdy: w ciągu trzech dni przyjdą dwaj ludzie, by przygotować wszystko. Za nimi przyjdzie Byk, ale znak ponad nim jest znakiem wojny i ludzi zbrojnych.

– A ino! Gdyśmy jechali z Lahory, w naszym wagonie był jeden z *sikhów* loodhiańskich! – ozwała się ufnie wieśniaczka.

– Ph! ph! Ludzie zbrojni... całe setki... Cóż ciebie obchodzi wojna? – rzekł kapłan do Kima. – Przypadł ci krwawy i srogi

znak wojny, który rychło się ziści.

– Nie... nie... – odrzekł lama zafrasowany. – Szukamy jeno pokoju i naszej rzeki.

Kim uśmiechnął się, przypomniawszy sobie, co podsłuchał w szatni. Stanowczo był wybrańcem gwiazd!

Kapłan nogą zatarł nagryzmołone horoskopy.

– Ponadto nie potrafię już niczego się dopatrzeć. Za trzy dni, chłopcze, byk przyjdzie do ciebie.

– A moja rzeka, moja rzeka! – orędownął lama. – Spodziewałem się, że jego byk doprowadzi nas obu do rzeki.

– Niestety, o tej dziwnej rzece nic nie wiem, mój bracie! – odparł duchowny. – Takie rzeczy nie każdemu dano poznać...

Nazajutrz, mimo że namawiano ich do pozostania, lama uparł się, by wyruszyć. Dano więc Kimowi spory tobołek pełen smakołyków oraz bez mała trzy *anny* miedziaków na drogę i wśród wielu błogosławieństw przyglądano się obu wędrowcom zmierzającym w szarzyźnie świtu na południe.

– Szkoda, że ci ludzie i im podobni nie mogą się wyzwolić z Koła Wszecrzeczy! – ozwał się lama.

– Oj nie! A toż by na ziemi pozostali tylko źli ludzie i ktoś by nam wtedy dał żarcie i dach nad głową? – zawyrokował Kim, krocząc dziarsko ze swoim ciężarem.

– Hań dalej jest mała rzeczka. Chodźmy zobaczyć – rzekł lama i skręcił od białego gościńca na przełaj przez pola, aż wpadli w istne gniazdo szerszeni – pomiędzy rozjadłe psy

pariaskie⁴⁴.

⁴⁴ psy *pariaskie* – pariaskimi nazywają w Indiach włóczęgowskie kundle, rasy niekształtnej, a maści żółtawej. [przypis tłumacza]

Rozdział III

*I tutaj wszelkich dusz pojmiesz wymowę,
Co szły przez życia szczeble i budowę,
Gdy Devadatty prawo – było nowe...
Wiatr ciepły tchnie od Kamakury.*

Jakowyś chłop rozjuszony, wypadłszy za nimi, jął wymachiwać palicą bambusową. Był to ogrodnik z kasty Arain, hodujący warzywa i kwiaty, które dostawiał na targ w Umballi. Kim znał dobrze to plemię.

– Ten człowiek – rzekł lama, nie zważając na psy – jest nieuprzejmy względem obcych, niepowściągliwy w gębie i niemiłosierny. Niechże jego postępowanie będzie ci przestrogą, mój uczniu!

– Hej! dziady bezczelne! – wrzeszczał chłop. – Fora stąd! A wynocha!

– Odchodzimy już – odpowiedział lama z godnością i spokojem. – Odchodzimy już z tych nieszczęsnych pól.

– Och! – ozwał się Kim, nabrawszy tchu. – Jeżeli nie dopiszą ci przyszłe zbiory, to możesz ino⁴⁵ sobie sam czynić wyrzuty za własne słowa!

Chłop pokręcił się niespokojnie.

⁴⁵ ino (gw.) – tylko. [przypis edytorski]

– W okolicy pełno żebraków – zaczął tonem na wpół usprawiedliwiającym.

– A skądś to wiedział, że my chcemy żebrać u ciebie, o Mali – rzekł Kim z przekąsem, darząc go przezwiskiem, jakiego najbardziej nie lubią przekupnie jarzyn. – Jedyną rzeczą, o którą nam chodziło, było przyjrzenie się tej rzece... tam za polem.

– Rzece? Doprawdy! – parsknął śmiechem warzywnik. – Z jakiego miasta przywlekliście się tutaj, że nie poznaliście zwykłego kanału? Płynie on prościutko jak strzała, a ja płacę za wodę, jakby to było roztopione srebro. Tam jest odnoga rzeki. Ale jeżeli chcecie wody, to wam jej dam... a może mleka?

– Nie, pójdziemy do rzeki – rzekł lama, zabierając się do odejścia.

– Dam wam mleka... i jadała... – zaciął się chłop, przyglądając się wysokiej postaci osobliwego przybysza – ja... nie... nie chciałbym ściągnąć nieszczęścia na siebie... albo na moje plony... ale w obecnych ciężkich czasach jest tylu żebraków...

– Przypatrz no się – zwrócił się lama do Kima. – Czerwona mgła gniewu przywiodła go do grubiańskich słów. Gdy ta ćma zdarła się z jego oczu, staje się człowiekiem grzecznym i łagodnego serca. Błogosławione niech będą jego pola! Pamiętaj, gospodarzu, nie sądź ludzi zbyt pośpiesznie.

– Spotykałem ludzi świętych, którzy by cię przekleli od obory aż do ogniska – ozwał się Kim do zawstydzonego chłopca. – Czyż on nie jest człkiem iście świętym? Ja jestem jego uczniem.

Zadarł butnie nosa do góry i z wielką godnością jął kroczyć po wąskich miedzach.

– Nie bywa pychy – rzekł lama po chwili milczenia – nie bywa pychy u tych, co idą Drogą Środkową.

– Przecież sameś powiedział, że był to człek z niskiej kasty i nieokrzesany.

– O niskiej kaście nie mówiłem, bo jakoż może być coś, czego nie ma? Później on żałował swej nieuprzejmości, więc zapomniałem o urazie. Zresztą i on jest, jako my, przywiązany do Koła Wszechrzeczy... tylko że nie kroczy drogą zbawienia.

Zatrzymał się przy małym strumieniu wijącym się przez niwy i wpatrzył się w brzeg podziurawiony kopytami.

– No, a jakże teraz poznasz swą rzekę? – zagadnął Kim, usiadłszy w kucki w cieniu kępki gibkich trzciny cukrowych.

– Gdy ją znajdę, na pewno doznam łaski oświecenia. Czuję, że nie jest to jeszcze owo miejsce. O najmniejszy z poników⁴⁶, gdybyś umiał mi ty powiedzieć, kędy płynie moja rzeka! Ale bądźże i ty błogosławion, że użyżniasz te niwy!

– Patrzaj, patrzaj! – krzyknął Kim, przyskakując doń i odciągając go w tył. Spośród kraśnych, szeleszczących badyli wypłynęła ku brzegowi żółto-brunatna wstęga, wyciągnęła szyję ku wodzie, napiła się i legła spokojnie – był to ogromny wąż *kobra* o nieruchomych oczach pozbawionych powiek.

– Nie mam kija... nie mam kija! – ozwał się Kim. – Poszukam kija i przetrączę mu grzbiet.

⁴⁶ *ponik* – strumyk. [przypis edytorski]

– Za co? I on jest w Kole, jako i my... w żywocie zdążającym wzwyż lub ku dołowi... bardzo mu daleko do wybawienia. Wielkiego grzechu dopuścić się musiała dusza, która spadła do takiej postaci.

– Nie cierpię wszelkich gadów! – rzekł Kim. Wychowanie wśród krajowców nie zdoła w człowieku białym wykorzenieć odrazy do węzów.

– Pozwól mu przeżyć należny okres żywota. – (Zwinięta w kłębek gadzina zasyczała i nieco rozwarła zakapturzony łeb.) – Oby rychło, bracie, nastąpiło twe wybawienie! – prawil lama spokojnie. – A może przypadkowo *ty* coś wiesz o mojej rzece?

– Nigdy nie widziałem człowieka takiego jak ty – szepnął Kim oszołomiony. – Czyż nawet węże rozumieją twą gwarę?

– Kto wie? – i przeszedł o jaką stopę odległości od chybotażącego się łba kobry. Wąż cały się spłaszczył w zapylonych zwojach.

– Chodź ino! – zawołał, oglądając się przez ramię.

– Nie pójdę! – rzekł Kim. – Obejdę go dokoła.

– Chodź! On ci nic złego nie zrobi.

Kim zawahał się na chwilę. Lama poparł swój rozkaz jakimś brzękliwym werselem chińskim, który Kim poczytał za guślarskie zakłęcie. Usłuchał wezwania i przeskoczył rzeczulkę. Wąż istotnie ani się nie ruszył.

– Nigdy nie widział takiego człowieka – mówił Kim, ocierając pot z czoła. – A teraz gdzie pójdziemy?

– Tobie o tym mówić wypada. Jestem stary i cudzoziemiec...

z dala od mego kraju. Gdyby nie to, że ten wóz *rel*⁴⁷ napełnia mi głowę zgiełkiem diabelskich bębnow, to chętnie bym w nim teraz pojechał do Benares... lecz w takiej przeprawie moglibyśmy ominąć Rzekę... Poszukajmy innego ruczaju.

Tam, kędy ciężko uprawiana rola daje żniwa trzy lub i cztery razy do roku – wśród poletek trzciny cukrowej, tytoniu, długich, białych rzodkwi i *nol-kol* – wałęsali się – obaj przez dzień cały, zbaczając z drogi za każdym ino połyskiem wody; budzili czujne psy po zagrodach i wioski drzemiące w ciszy południowej. Lama, nigdy nie zbity z tropu, z wielką prostotą odpowiadał na grad pytań, jakimi ich zasypywano. Szukali rzeki... rzeki cudownego uzdrowienia. Czy komukolwiek było co wiadomo o takiej strudze? Niekiedy ludzie się śmiali, lecz częściej słuchano opowiadania od deski do deski, ofiarowano przychodniom spoczynek w cieniu, łyk mleka i posiłek. Kobiety były zawsze uprzejme, a mali smarkacze, jak to bywa z dziatwą w całym świecie, na przemian okazywali to onieśmienie, i to czupurność. Wieczór zastał ich pogwarzających z wójtem pod osłoną gminnego drzewa w małej wioszczynie złożonej z lichy skleconych lepianek; właśnie bydło wracało z pastwisk, a kobiety gotowały wieczerzę. Przebyli już pas ogrodów warzywnych okalających wygłodzoną Umballę i znajdowali się pośrodku milami rozpostartej zieloności urodzajnych zbóż.

Wójt był to siwobrody, uprzejmy starzec, nawykły do gawędy z cudzoziemcami. Przyturgął dla lamy łóżko siatkowe, zastawił

⁴⁷ *rel* – przekręcone z ang. *rail*: kolej. [przypis edytorski]

przed nim ciepłą stawę, nabił mu fajkę, a gdy w świątyni wioskowej skończyło się nabożeństwo wieczorne, posłali po miejscowego kapłana.

Kim opowiadał starszym dzieciom cudeńka o wielkości i piękności Lahory, o jeździe koleją i tym podobnych dziwach miejskich, tymczasem starsi gwarzyli z wolna, tak jak ich trzody przeżuwają paszę.

– Nie umiem tego zgłębić – rzekł w końcu wójt do kapłana.
– Co sądzisz o tym gadaniu?

Lama, skończywszy opowieść, odmawiał po cichu różaniec.

– To Poszukiwacz – odrzekł kapłan. – Pełno takich w naszym kraju. Czy pamiętasz tego... fakira z żółciem... co tu był niespełna miesiąc temu?

– Tak, lecz ów człowiek miał do tego prawo i podstawę, gdyż zjawił mu się sam Krishna, obiecując mu raj bez przejścia przez czyściec, jeżeli odbędzie pielgrzymkę do Prayag. Ten zaś szuka jakiegoś boga, o którym zgoła nic nie wiem.

– Cichaj, to człek stary; idzie z bardzo daleka i jest obłąkany – odparł gładko wygolony świątnik. – Słuchaj no! – zwrócił się do lamy – trzy *kos* (sześć mil angielskich) na zachód stąd ciągnie się wielki trakt wiodący do Kalkuty.

– Ależ ja chciałbym dojść do Benares... do Benares.

– Także i do Benares... Przecina on wszystkie strumienie z tej strony Indii. A teraz zasylam prośbę do ciebie, o święty, byś tu pozostał do jutra. Potem wyjdź na drogę – (miał na myśli główny trakt) – i badaj każdy strumień, który ona przecina; albowiem,

jak wnoszę, przymioty twej rzeki nie są związane z jedną jej łachą czy też jakąś miejscowością, lecz ujawiają⁴⁸ się przez całą długość jej biegu. Przeto, jeżeli taka wola twych bogów, bądź pewny, że dostąpisz wybawienia.

– Dobra rada – rzekł lama, wielce przejęty tym pomysłem.
– Ruszymy jutro i niech błogosławieństwo spłynie na cię, iżeś starym nogom ukazał tak bliską drogę.

Z głębi gardła wydobyty, niezrozumiały przyśpiew chiński stanowił zamknięcie zdania. Uczyniło to wrażenie nawet na duchownym, a wójt zatrwożył się, czy nie jest to urok jakowyś; lecz kto spojrzał na prostoduszną, pełną zapału twarz lamy, nie mógł długo mieć go w podejrzeniu.

– Czy widzisz mego *chele*? – ozwał się ów, gmerząc w tabakierze i dobywając sutą szczyptę; uważał za swą powinność, by odplacić grzecznością za grzeczność.

– Widzę... i słyszę – odpowiedział wójt, rzucając okiem w stronę, gdzie Kim przekomarzał się z dziewczyną w modrej sukni, podsycając ognisko trzaskającym chrustem cierniowym.

– On ma też własny przedmiot poszukiwań. Nie rzekę, ale byka. Tak, Ryży Byk na zielonym polu ma go kiedyś wynieść do wysokich dostojęństw. Zdaje mi się, że on niezupełnie należy do tego świata. Był mi nagle zesłany do pomocy w poszukiwaniach, a nazywają go Przyjacielem całego świata.

Kapłan uśmiechnął się.

– Hej tam, Przyjacielu całego świata! – krzyknął poprzez

⁴⁸ *ujawiać się* – dziś: ujawniać się a. przejawiać się. [przypis edytorski]

kłęby gryzącego dymu – ktożeś ty?

– Żak tego świątka! – odrzekł Kim.

– On mówi, żeś ty jest *but* (duch).

– Czyż *buty* mogą jeść? – ozwał się Kim, mrugając oczami.

– Bo mnie się chce jeść.

– To nie żarty! – krzyczał lama. – Pewien astrolog... z miasta... którego nazwa wyszła mi z pamięci...

– Było to nie dalej jak w Umballi, gdzieśmy spędzili noc ostatnią! – szepnął Kim do kapłana.

– Aha, czy to nie była Umballa? Ten astrolog stawiał horoskopy i oznajmił, że mój *chela* w przeciągu dwóch dni odnajdzie cel swych pragnień. Lecz co on mówił o znaczeniu gwiazd, Przyjacielu całego świata?

Kim odchrząknął i rozejrzał się po patriarchach wioskowych siedzących wokoło.

– Moja gwiazda wróży wojnę! – przemówił z przejęciem.

Kilku obecnych roześmiało się, widząc niepokaźnego obdartusa, stąpającego z dumą po ceglany murku pod rozłożystym drzewem. Krajowiec w takiej sytuacji leżałby spokojnie, ale w Kimie zawrzała krew białego człowieka i postawiła go na równe nogi.

– A właśnie, że wojnę! – odciął się.

– O to niezawodne proroctwo! – zagrzemiał tubalny głos. – Dyc⁴⁹ na granicy ciągiem jest wojna... jak mi wiadomo.

⁴⁹ *dyc* (gw.) – przeciecz. [przypis edytorski]

Był to stary, sucherlawy człek, który za dni powstania⁵⁰ był w służbie rządowej jako oficer w świeżo wystawionym pułku jazdy krajowej. Rząd wynagrodził go pięknym kawałkiem gruntu w wiosce, a chociaż nadmierne wymagania synów (obecnie również siwobrodych oficerów) zubożyły go wielce, był jeszcze człowiekiem moźnym i wpływowym. Urzędnicy angielscy – nawet wysłannicy parlamentu – zbaczali z głównego gościńca, by go odwiedzić; w takich okolicznościach ubierał się w dawny mundur i stawał wyprostowany jak stempel karabina.

– Ale to będzie wielka wojna... wojna ośmiu tysięcy ludzi! – rozbrzmiał wśród szybko gromadzącej się gawiedzi przeraźliwy głos Kima, który aż jego samego przejął zdumieniem.

– Czerwone kurty (Anglicy), czy nasze własne pułki? – pochwycił starzec, jak gdyby pytał równego sobie. Ton jego zapytania wzbudził w obecnych szacunek dla Kima.

– Czerwone kurtki – palnął Kim na chybił trafił – czerwone kurty i armaty...

– Ależ... ależ astrolog nie mówił o tym ani słowa – krzyknął lama, charcząc dziwnie przez nos w swym podnieceniu.

– Ale *ja* wiem o tym! Miałem o tym objawienie, ja, który jestem uczniem tego męża świętego. Wybuchnie wojna... wojna ośmiu tysięcy czerwonych kurt. Ściągną ich z Pindi i Peshawur. To rzecz pewna.

⁵⁰ *powstanie* – oczywiście, mowa o powstaniu sipajów; [tj. masowych antybrytyjskich wystąpieniach zbrojnych w Indiach w latach 1857–1859, zainicjowanych przez wojskowych wywodzących się z miejscowej ludności, czyli tzw. sipajów; red. WL]. [przypis tłumacza]

– Chłopak nasłuchiwał się plotek jarmarcznych – ozwał się kapłan.

– Ależ on był wciąż przy mnie – rzekł lama. – Skąd by on to wiedział? Ja nic nie wiedziałem.

– Będzie z niego sprytny kuglarz, gdy ten stary zemrze! – bąknął kapłan do wójta. – Cóż to za nowy figiel?

– Dowodu!... Daj mi dowód! – huknął naraz stary wojak. – Gdyby się zanosilo na wojnę, synowie moi dawno by mi o tym powiedzieli.

– Gdy wszystko będzie gotowe, twoi synowie na pewno będą o tym zawiadomieni. Ale od twoich synów daleka droga do człowieka, w którego rękach spoczywa wszystko.

Kim zapalił się do gry, bo mu to przypominało przygody na linii kolejowej, przewożącej pocztę, kiedy to dla zdobycia kilku *paisów*⁵¹ udawał, że wie więcej, niż wiedział w istocie. Ale teraz grał o wyższą stawkę – o samo tylko podniecenie i poczucie własnej mocy. Nabral więc tchu na nowo i mówił dalej:

– Staruszk, ty daj mi dowód. Czy podwładni mogą nakazać wymarsz ośmiu tysięcy czerwonych kubraków... z armatami?

– Nie! – odpowiedział wiarus wciąż takim tonem, jak gdyby Kim był jego rówieśnikiem.

– Czy wiesz, kto to jest taki, co wydaje rozkazy?

– Przecież go widział!

– Poznałbyś go znowu?

⁵¹ *pais* a. *paisa* – drobny pieniądz indyjski (miedziany), stanowiący ćwierć *anny*.
[przypis tłumacza]

– Znałem go jeszcze, gdy był porucznikiem w *topkhana* (artylerii).

– Jest to człek wysoki... wysoki człek o czarnych włosach... a chodzi w ten sposób... – tu Kim przeszedł parę kroków, uwydatniając chód sztywny, jakby drewniany.

– No tak. Ale to mógł zauważyć byle kto.

Tum przysłuchiwał się z zapartym tchem całej tej rozmowie.

– To prawda – rzekł Kim. – Ale powiem ci jeszcze więcej. Przypatrz no się. Najpierw ten wielki człowiek chodzi w ten sposób... potem myśli w ten sposób... – (tu Kim przesunął palec wskazujący po czole, potem w dół, aż na koniec zatrzymał go w kącie ust) – następnie w ten sposób strzela palcami... potem bierze kapelusz pod lewą pachę...

Kim unaoczniał cały ruch i stanął niby bocian. Stary wiarus warczał coś niezrozumiale z podziwu, a po tłumie przebiegł dreszcz.

– Tak... taak... taak! Ale co on czyni, gdy ma wydać rozkaz?

– Skrobie się w ten sposób po karku... Potem wyrzuca Jeden palec na stół i z lekka fuczy przez nos... Potem odzywa się:

– Zluzować taki a taki pułk! Sprowadzić takie działa!

Stary wiarus stanął na baczność i zasalutował.

– Bo... – tłumaczył Kim na gwaraę gminną dobitne zdania posłyszane w szatni domu w Umballi – bo, powiada on... powinniśmy to uczynić już dawno. To nie wojna, to kara. Fff!

– Dosyć. Wierzę ci. Takim go widziałem w ogniu bitwy. Widziałem i słyszałem. To on!

– Nie widziałem ognia bitwy! – tu głos Kima przeszedł w urywkowe gładzenie przydrożnego wróżbity. – Widziałem go w ciemności... Najpierw nadszedł człowiek, mający wyjaśnić położenie... Potem przybyli jeźdźcy... Potem przybył on, stojąc w obręczy świetlnej... Dalej było tak, jak mówiłem. Starcze, czy powiedziałem prawdę?

– To on; to on bez najmniejszej wątpliwości.

Thum odetchnął przeciągle całą skalą głosów, wlepiając oczy na przemian to w starego wiarusa, wciąż jeszcze stojącego na baczność, to w obdartego Kima. Zmierzch krasił się barwą purpury.

– Czyż nie mówiłem... czyż nie mówiłem, że on nie z tego świata? – zawołał lama chełpliwie. – On jest Przyjacielem całego świata! on jest Przyjacielem gwiazd!

– No, ale co nam do tego! – zawołał jeden z chłopów. – O młodociany wróżbito, jeżeli duch wieszczu zamieszkuje w tobie o każdej porze... to ja mam czerwono nakrapianą krowinę. Ona mogłaby być siostrą twego byka... o ile mi wiadomo...

– Albo o ile mnie to obchodzi! – rzekł Kim. – Moje gwiazdy nie mają nic wspólnego z twoim bydłem.

– Ależ nie... ona jest bardzo chora – wmieszała się jakaś babina. – Mój mąż to istny bawół, inaczej dobierałby lepiej wyrazów. Powiedz mi, czy ona się wyliże?

Gdyby Kim był zwyczajnym chłopcem, przeciągałby jeszcze tę zabawę; lecz jeżeli ktoś od lat trzynastu znał całe miasto Lahorę lub chociażby wszystkich fakirów przy bramie Taksali,

to musiał już dobrze znać i naturę ludzką. Z boku nieco kwaśno spozierał nań kapłan – uśmiechając się oschle i jadownicie.

– Cóż? Czy w tej wsi nie ma kapłana? Zdaje mi się, że dopiero co widziałem, i to nie lada, kapłana!

– Tak... ale... – zaczęła kobieta.

– Ale ty i twój mąż przypuszczaliście, że ktoś wyleczy wam krowę za kopę podziękowań. – Strzał był celny, gdyż to stadło słynęło z największego sknerstwa w całej wiosce. – Niedobrze to oszukiwać świątynię. Daj młodego cielaka kapłanowi, a o ile bóstwa twoje nie pałają nieodwołalnym gniewem, to za miesiąc krowa będzie dawała mleko.

– Jesteś mistrzem w żebraniu – markotał niby kot udobruchany kapłan. – Nawet czterdziestoletnie doświadczenie nie mogłoby cię uczynić doskonalszym. Pewno bardzo wzbogaciłeś tego starucha?

– Trochę mąki, trochę masła i garść rzeżuchy – odpowiedział Kim, rumieniać się z pochwały, lecz mając się jeszcze na ostrożności – czyż można się tym wzbogacić? A jak sam pewno widzisz, on ma fioła w głowie. Ale przynajmniej tyle na tym korzystam, że poznaję drogę.

Wiedział, jak wyglądali fakirowie pod bramą Taksali, gdy gwarzyli ze sobą, i naśladował nawet same wyrażenia ich wyuzdanych uczniów.

– Czyż więc jego poszukiwanie jest prawdą czy też płaszczykiem do pokrycia innych celów? Może to skarby?...

– On jest szalony... bardzo szalony... Nie ma w tym nic

więcej...

W tej chwili przykuszykał stary wiarus i zapytał, czy Kim zostanie u niego na noc. Kapłan namawiał go, by tak uczynił, lecz równocześnie twierdził uporczywie, że zaszczyt podejmowania lamy należy do świątyni, na co lama uśmiechnął się z całą szczerością. Kim rzucił okiem z twarzy jednego na oblicze drugiego – i wyciągnął odpowiednie wnioski.

– Gdzie masz pieniądze? – szepnął odprowadziwszy starca na bok w ciemności.

– Za pazuchą. Gdzieżby były?

– Daj mi je. Daj mi je prędko i po cichu.

– Na co? Po co? Tu nie trzeba kupować biletu.

– Czy jestem twoim *chela*, czy nie? Czyż nie jestem podporą twych starych nóg w podróży? Daj mi pieniądze, a oddam ci je o świcie.

Wsunął dłoń za pas lamy i wyciągnął stamtąd kieskę.

– Niechże tak będzie... niech będzie... – pokiwał głową starzec. – Świat ten jest wielki i straszny. Nigdy nie sądził, że tylu ludzi żyje na nim.

Nazajutrz rano kapłan był wielce nadąsany, natomiast lama czuł się rozkosznie. Kim zaś spędził wieczór bardzo zajmująco ze starym wojakiem, który wyciągnął skądś swą szablę kawaleryjską i kołyszac ją na chudych kolanach opowiadał mu o powstaniu i młodych kapitanach, spoczywających od trzydziestu lat w grobie... aż chłopca z wolna zmorzył sen.

– Zdrowe być musi powietrze w tej okolicy – ozwał się lama. –

Sypiam zazwyczaj lekko, jak wszyscy starcy, ale tej nocy spałem jak zabity i nie obudziłem się do białego ranka.

– Łyknij sobie gorącego mleka – rzekł Kim, który nierzadko stosował takie lekarstwo względem znajomych palaczy opium. – Czas już ruszyć w drogę.

– Na długą drogę, co przecina wszystkie rzeki Indii – rzekł lama radośnie. – Chodźmy. Ale jak myślisz, *chelo*, odwdzińczyć się tym ludziskom, nade wszystko zaś kapłanowi, za ich wielką uprzejmość? Wprawdzie są to *but-parast*, ale w przyszłych żywotach może doznają oświecenia? Czy dać rupię na świątynię? Przedmiot, który znajduje się wewnątrz tej świątyni, jest niczym innym, jak tylko kamieniem malowanym na czerwono, ale powinniśmy cenić serce człowieka, gdy jest dobre.

– O święty! Czy odbywałeś kiedy drogę samopas? – Kim spojrzał nań ostro, niby jedna z wron indyjskich, co się krzątają po polach.

– A juści, dziecię moje: od Kulu do Pathankot... z Kulu, gdzie zmarł mój pierwszy *chela*. Gdy ludzie byli dla nas dobrzy, składaliśmy datki, a na całym pogórzu okazywano nam życzliwość.

– Inaczej jest w Hind (na niżu indyjskim) – rzekł Kim oschle. – Ich bogi mają wiele ramion i są złośliwe. Zostaw je w spokoju.

– Chciałbym was odprowadzić przez kawałek drogi, Przyjacielu całego świata... ciebie i twojego żółtego człowieka – ozwał się czyjś głos; to stary wiarus człapał stępa na chudym kucyku o nożycowatych pęcinach, majacząc w brzasku na uliczce

wioski – ostatniej nocy w moim wyschłym sercu wytrysły źródła wspomnień i było to dla mnie błogosławieństwem. Naprawdę wojna rozchodzi się w powietrzu; odczuwam ją... Patrz, wziąłem ze sobą pałasz.

Siedział, zwiesiwszy długie nożyska, na grzbiecie małego wierzchowca, a dłonią oparł się na głowicy sążnistego⁵² pałasza dyndającego mu przy boku; poglądał srogo hen ponad kraj⁵³ równinny, ku północy.

– Opowiedz no mi jeszcze raz, jak *on* wyglądał w tej zjawie. Hopnij i siądź za mną. Bestyjka udźwignie nas obu.

– Jestem uczniem tego świętego – rzekł Kim, gdy przejechali bramę wioski.

Wieśniacy byli, zda się, niemal zmartwieni rozstaniem z nimi, natomiast kapłan pożegnał ich chłodno i z daleka. Zmarnował jeno niepotrzebnie tyle opium na człowieka, który nie nosił z sobą pieniędzy.

– Wcale trafne powiedzenie. Nie bardzo się wdaję z ludźmi świętymi, ale szacunek nigdy nie zawadzi. W dzisiejszych czasach już nie szanują człowieka... nawet gdy sahib-komisarz przyjeżdża do mnie w odwiedziny. Lecz czemuż to chodzić z człowiekiem świątobliwym, jeżeli kogoś gwiazda prowadzi do wojny?

– Ależ on *jest* człowiekiem świętym – rzekł Kim z powagą. –

⁵² *sążnisty* – ogromny, bardzo długi; *sążeń*: daw. miara długości wynosząca w różnych okresach i różnych krajach od 176 do 2,15 m. [przypis edytorski]

⁵³ *kraj* – tu: kraniec, kres. [przypis edytorski]

Jest naprawdę święty w słowach i czynach. On nie jest podobny innym: nigdy nie widziałem takiego jak on. Nie jesteśmy wróżbitami ani kuglarzami, ani żebrakami.

– Ty nie jesteś... to widzę, ale nie znam tego drugiego. Bądź co bądź, maszeruje raźnie.

Świeży dech poranku ożywił lamę, który śmigał wielkimi, rześkimi krokami podobnymi do chodu wielbłąda. Zatopiony był w rozmyślaniach i odruchowo pobrzękiwał różańcem.

Szli drogą wiejską, pełną kolein i wybojów, co wiała się po równinie wśród wielkich, ciemnozielonych gajów mangowych⁵⁴; na wschodzie bledziuchno rysowały się śniegiem przykryte Himalaje. Całe Indie wyroiły się na pola, do roboty; słysząc było zgrzyt kołowrotów studziennych, pokrzykiwanie oraczy za bydłem i swarzenie się wron. Nawet kucyk poszedł za dobrym przykładem i ruszył prawie truchtem, gdy Kim położył rękę na puślisku.

– Żałuję, że nie dał rupii na kaplicę – rzekł lama, przebiegłszy palcami wszystkie osiemdziesiąt jeden paciorków różańca.

Stary wojak warknął coś pod wąsem, a lama teraz dopiero zauważył jego obecność.

– Czy i ty szukasz rzeki? – rzekł, odwracając się.

– Dzień ledwo się zaczął – brzmiała odpowiedź. – Po kiego licha mi rzeka? Chyba do napojenia konia przed zachodem

⁵⁴ *mango* – (wyraz tamilski) owocowe drzewo rosnące w Indiach, a rodzaje jadalne owoce, bardzo soczyste, o żywicznym zapachu. [przypis tłumacza]

słońca! Jadę, żeby pokazać ci krótszą drogę do wielkiego gościńca.

– Nie zapomnę ci tej grzeczności, człowiecze dobrej woli, ale na cóż ten pałasz?

Stary wiarus tak się zawstydził, jak dziecko przyłapane na zmyślaniu.

– Ten pałasz... – odezwał się obmacując swój oręż – o, to jeno⁵⁵ moje upodobanie... upodobanie starego człowieka... Wprawdzie był rozkaz z policji, że w całych Indiach nie wolno nikomu nosić broni, ale – zaśmiał się i plasnął po rękojęści – mnie znają wszyscy policjanci w okolicy.

– Niedobre to upodobanie – rzekł lama. – Cóż komu przyjdzie z zabijania ludzi?

– Niewiele... ile wiem; ale gdyby od czasu do czasu nie zabijano złych ludzi, niedobrze byłoby na tej ziemi bezbronnym marzycielom. Nie wysłałem tego z palca, bom ci widział kraj od Delhi na południe zalany krwią.

– Cóż to za szal ogarnął wówczas ludzi?

– Wiadomo to tylko bogom, którzy zesłali tę plagę. Wzrął się ten szal w całą armię i zaczęto buntować się przeciwko oficerom. Było to pierwsze zło, ale dałoby się jeszcze je załagodzić, gdyby się pohamowali; alć oni woleli zabijać żony i dzieci sahibów. Wtedy przybyli sahibowie zza morza i zrobili z nimi surowy porachunek.

– Pewne pogłoski o tym, jak mi się zdaje, dotarły do mnie

⁵⁵ jeno (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

przed wielu laty. Jak sobie przypominam, nazwano ów rok „Czarnym Rokiem”.

– Jakimże ty żyłeś trybem, że nie wiesz o tym roku? Pogłoski, ciewy⁵⁶! Cała ziemia wiedziała i trzęsała się ze strachu.

– Nasza ziemia nigdy się nie trzęsała, tylko raz... i w dniu, gdy Najdoskonalszy doznał oświecenia.

– Brrmh! Ja widziałem przynajmniej trzęsienie ziemi w Delhi, a Delhi jest pępkiem świata.

– Więc oni zwrócili się przeciwko kobietom i dzieciom? To był czyn zły, za który nie można uniknąć kary.

– Niektórzy starali się temu zapobiec, ale na nic to się nie zdało. Byłem wtedy w pułku konnicy. Ten się zbuntował. Z sześciuset osiemdziesięciu szabel ilu pozostało wiernie przy swych dowódcach? Jak sądzisz? Trzech tylko! Ja byłem jednym z nich.

– Tym większa zasługa.

– Zasługa! Nie uważaliśmy tego wówczas za zasługę. Moi ludzie, przyjaciele, bracia opuścili mnie, mówiąc: „Skończyły się czasy panowania Anglików. Niech każdy wywalczy sobie nieco mienia”. Lecz ja już mówiłem, był z ludźmi z Sobraon, z Chillianwallah, z Moodkee i Ferozeshah; przeto rzekę: „Poczekajcie no trochę, a wiatr się zmieni; te sprawy nie przyniosą wam szczęścia”. W owych to dniach przejechałem konno siedemdziesiąt mil, wioząc na łęku angielską *memsahib*⁵⁷

⁵⁶ ciewy (gw.) – a to dopiero; też coś. [przypis edytorski]

⁵⁷ *memsahib* – z ang. *madam*, *ma'am*: pani i hind. *sahib*. [przypis redakcyjny]

z dzieckiem. (Ej, to był wierzchowiec w sam raz dla sielnego chłopca!) Zawiozłem ich w miejsce bezpieczne i powróciłem do swego oficera, jedyne go z naszych pięciu, którego nie zabito. „Daj mi jaką posadę – powiadam mu – bo jestem wyrzutkiem mego rodu i szabla moja ocieka krwią bratnią”. „Bądź spokojny – rzecze ów – wielka praca jeszcze nas czeka. Skoro ten szal przeminie, przyjdzie nagroda”.

– Tak, czy to pewne, że przyjdzie nagroda, gdy szal przeminie? – mruknął lama na w pół do siebie.

– Nie obwieszano jeszcze wówczas medalami każdego, kto przypadkiem posłyszał huk działa. Nie! Uczestniczyłem w dziewiętnastu gorących bitwach, w czterdziestu sześciu potyczkach konnych, a drobnych utarczek było bez liku. Odniosłem dziewięć ran; mam medal, cztery odznaki i jeden order, bo moi kapitanowie, którzy obecnie są generałami, pamiętali o mnie, gdy *Kaiser-i-Hind* (cesarzowa Indii) dożyła pięćdziesięciolecia panowania, a cały kraj się radował. Powiedzieli: „Dać mu order *Berittish India*⁵⁸”. Noszę go teraz na szyi. Z rąk państwa otrzymałem też *jaghir* (posiadłość)... jako wolną darowiznę dla siebie i swoich. Moi znajomkowie z lat dawnych (obecnie są komisarzami) przyjeżdżają do mnie nieraz na przełaj przez oziminę... sadząc dumnie na koniach, iż widzi ich cała wieś... i gwarzymy sobie o dawnych bojach... a imię jednego z nieboszczyków zaraz nam przywodzi na myśl drugie...
– A potem? – ozwał się lama.

⁵⁸ *Berittish India* – przekręcone z *British India*: Indie angielskie. [przypis tłumacza]

– O, potem oni odjeżdżają, ale nie wcześniej, aż im się cała wieś napatrzy.

– A w końcu co myślisz uczynić?

– W końcu umrę.

– A potem?

– Niech bogowie o tym stanowią! Nigdy nie naprzykrzałem się im modlitwami; sądzę, że i oni nie będą mnie dręczyć. Bo, widzisz, w ciągu długiego żywota mego zdołałem zauważyć, że ci, którzy ustawicznie napastują istoty nadziemskie utyskiwaniem, skargami, rykiem i płaczem, bywają co rychlej wezwani na tamten świat, podobnie, jak to nasz pułkownik zwykł był wzywać do siebie mazgajowatych chamów wiejskich, co za wiele pytlowali jęzorem. Nie, ja nigdy nie dokuczyłem bogom. Oni o tym będą pamiętali i dadzą mi cichy kącik, gdzie będę mógł spokojnie lancą wywijać i czekać przybycia mych synów; mam ich w wojsku ni mniej ni więcej, tylko trzech: wszyscy są *ressadar-majorami*⁵⁹.

– I oni tak samo, przykuci do Koła, przechodzą z żywota do żywota... z jednego zwątpienia w drugie – rzekł lama, westchnąwszy – zgorączkowani, znękani szarpią się w bezsilności...

– A jakże! – zachichotał wiarus. – Trzej rotmistrze w trzech pułkach! Trochę szulerzy, ale i jam od nich nie lepszy. Muszą jeździć na pięknych rumakach, a przecież nie można tak

⁵⁹ *ressaldar* (z hind. *risalah*: szwadron, chorągiew) – rotmistrz w pułku rekrutującym się z krajowców. [przypis tłumacza]

zdobywać koni, jak w dawnych latach zdobywało się kobiety. No, no, moje gospodarstwo mogłoby opędzić wszystkie wydatki. Jak ci się zdaje? Jest to szmat żyznej ziemi, ale moja czeladź mnie podbiera. Ja nie umiem niczego dochodzić, chyba ostrzem lancy. Uuch! Srożę się i klnę, co wlezie, a oni udają skruchę, lecz poza plecami przezywają mnie starym, bezzębnym małpiszonem.

– Czy nigdy nie tęskniłeś do niczego innego?

– O tak!... Tak!... Po tysiąc razy! Jeszcze bym raz chciał mieć grzbiet prosty i zwierające się kolana... żwawy kułak i bystry wzrok... i ten szpik w kościach, co człeka robi silnym... O dawne lata... szczęśliwe lata, gdym był krzepki i zdrowy!

– Ta krzepkość jest słabością.

– Na to ona zesła; ale pięćdziesiąt lat temu pokazałbym co innego! – odrzekł stary wiarus, bodąc kantem strzemienia wychudły bok kucyka.

– Ale ja wiem o rzece wielkich uzdrowień.

– Piłem ci ja wodę z *Gungi* (Gangesu), co się zmieści, aż mi brzuszysko napęczyało. Nabawiłem się ino biegunki, a nijakiej tam siły mi nie przybyło.

– To nie o Gangesie mowa. Rzeka, o której wiem, zmywa wszelką zamię grzechu. Wyszedłszy na brzeg przeciwległy, jest się pewnym wybawienia. Nie znam twego życia, lecz twarz twoja świadczy, żeś zacny i uprzejmy. Trzymałeś się swojej drogi, okazując wierność wówczas, gdy ciężko było trwać w wierności... w owym „Czarnym Roku”, o którym przypominam sobie teraz jeszcze inne opowieści. Wejdz teraz

na drogę pomierną⁶⁰, która jest ścieżką zbawienia. Słuchaj najwznioślejszego prawa, a nie idź za mrzonkami.

– Mów więc, staruszkule – uśmiechnął się wiarus, salutując z lekka. – Wszyscy w tym wieku stajemy się gadułami.

Lama przysiadł pod osłoną drzewa mangowego, którego cień igrał mu różnowzorowymi cętkami po twarzy; wiarus siedział prosto jak pień na kucyku, a Kim, upewniwszy się, że tu nie ma węzów, położył się na kłębowisku splecionych korzeni.

Skroś jasnej spieki słonecznej rozbrzmiewał gnuśny szmer drobnego życia, gruchanie gołębi i senny pobrzęk kołowrotów studziennych pośród pól. Lama jął mówić powoli i z przejęciem. Po upływie dziesięciu minut wiarus ześliznął się z kucyka, by lepiej dosłyszeć (jak mówił), i usiadł, owinawszy uzdę dokoła przegubu ręki. Głos lamy załamywał się – okresy zdaniowe się wydłużały. Kim tymczasem uważnie śledził szarą wiewiórkę. Gdy mały, przekorny kłębuszek sierści znikł, przywarłszy gdzieś do gałęzi, kaznodzieja i słuchacz spali już jak zabici; stary oficer przyhołubił na ramieniu swą mocno pokiereszowaną głowę, a lama oparł swoją na wznak o pień drzewa, gdzie połyskiwała niby żółtawa kość słoniowa.

Skądś przykatulał się mały, naguśki berbeć, wytrzeszczył ślipięta⁶¹ i tknięty nagłym odruchem szacunku złożył lamie uroczysty ukłon... atoli malec był tak krótki i tłusty, że przewrócił się przy tym w bok, a Kim zaczął się śmiać z jego

⁶⁰ *pomierny* – umiarkowany. [przypis edytorski]

⁶¹ *ślpięta* – od: ślepiec; oczy. [przypis edytorski]

grubych nóg fikających w powietrzu. Dziecko, przestraszone i obudzone, zaczęło drzeć się wniebogłosy.

– Hej, hej! – ozwał się wiarus, zrywając się na równe nogi.
– Co się stało? Jakie rozkazy? To... dziecko! Śniło mi się, że to alarm. No, małyśki... malunki... nie becz... Czy spałem? To doprawdy bardzo niegrzecznie z mej strony!

– Ja się boję, ja się boję! – zarykiwał się dzieciak.
– Czego tu się bać? Dwóch dziadów i chłopca? Jaki z ciebie będzie kiedyś żołnierz, paniczku?

Lama też się obudził, lecz nie zwracał uwagi na dziecko i tylko klepał różaniec.

– Co to? – zapytało dziecko, zaprzestawszy nagle beków. – Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Daj mi ten dzyndzyk.
– W sam raz! – odrzekł lama, uśmiechając się i powlókł całym sznurkiem paciorków po murawie, nucąc:

Pęczek rzeżuchy i osełka *ghi*⁶²,
Garsteczka ryżu i jagły
I suchych strączków – wystarczy nam dwom,
Aby uśmierzyć głód nagły.

Dziecko zakrzyczało z radości i pochwyciło ciemne, połyskujące paciorki.

– Ho, ho! – ozwał się stary wojak. – Kędy⁶³ żeś się nauczył

⁶² *ghi* – masło z mleka bawolic. [przypis redakcyjny]

⁶³ *kędy* – gdzie. [przypis edytorski]

takich śpiewanek, ty, co gardzisz światem doczesnym?

– Nauczyłem się w Pathânkot... siedząc w progu jednego domu – rzekł lama nieśmiało. – Dobrze to być życzliwym dla dzieci.

– O ile pamiętam, to zanim nas zmorzył śpik, opowiadałeś mi, że ożenek i płodzenie potomstwa są zaćmieniem prawdziwego świata, są zawadą na Drodze. Czy w twoim kraju dzieci spadają z nieba? Czy ową Drogą ma być śpiewanie takich piosenek?

– Nikt nie jest w zupełności doskonały – rzekł lama poważnie, zgarniając z powrotem różaniec. – Chybaż teraz do matysi, mój mały!

– Ciewy⁶⁴! – ozwał się wiarus do Kima. – On się tego wstydzi, że zrobił uciechę dziecku! No, brachu, świat stracił w tobie dobrego ojca rodziny! Hola, smyku! – cisnął dziecku *pais*. – Łakocie, to zawsze rzecz smaczna!

A kiedy maleństwo odbiegło w podskokach na rozłogi zalane blaskiem słonecznym, stary rębacz dodał:

– *Taki* to później wyrasta i bywają z niego ludzie. O święty człeczko, przykro mi bardzo, że zasnąłem w środku twego kazania. Przebacz mi!

– Obaj jesteśmy starzy – rzekł lama. – Mnie winę przypisać należy. Słuchałem twej gawędy o świecie i jego szaleństwach, a jeden błąd pociągnął za sobą drugi.

– Ludzie, słuchajcie! Cóż to szkodzi twoim bogom, że sobie pogwarzysz z takim basałykiem? A śpiewka to ci się udała!

⁶⁴ ciewy (gw.) – a to dopiero; też coś. [przypis edytorski]

Chodźmy dalej, a ja ci zaśpiewam pieśń o Nikal Seynie pod Delhi... bardzo to stara pieśń.

Wyruszyli z pomroczy gaju mangowego; donośny, przenikliwy głos starego wygi niósł się po łąkach i łęgach, opiewając w kwilących, przeciągłych zawodzeniach dzieje Nikal Seyna (Nicholsona) – jest to dumka, którą po dziś dzień śpiewają w Pendżabie. Kim był oczarowany, a lama przysłuchiwał się jej z wielkim zaciekawieniem.

Hej – Hej! Nikal Seyn zginął... zginął pod Delhi!
Lance północy, pomścicie śmierć Nikal Seyna!

Wywodził trele w zakończeniu każdej zwrotki i wybijał takt, uderzając płazem pałasza o zad koński.

– A teraz dochodzimy do wielkiego gościńca – rzekł, wysłuchawszy pochwał Kima, bo lama milczał znamiennie. – Od dawna już nie jeździłem tą drogą, ale rozruszało mnie to gadu-gadu z twoim chłopcem. Patrz no, święty człecze: oto wielki trakt, który jest kością pacierzową całego Hindu. W znacznej części jest ocieniony, jak tutaj, czterema rzędami drzew; to środkowy, cały wybrukowany, jest przeznaczony do szybkiej jazdy; zanim nastały koleje, sahibowie jeździli tędy całymi setkami tam i z powrotem; obecnie jeżdżą tędy tylko wasagi chłopskie i inne bryczki. Po prawej i lewej stronie jest gorzej utrzymana droga dla ciężkich fur... ze zbożem, bawełną, drzewem, *bhossa*, wapnem i skórą. Idzie się tędy bezpiecznie,

gdyż co kilka *kos* jest posterunek w policji. Ci policjanci, to złodzieje i wydrwigrosze (ja, gdyby to ode mnie zależało, ustanowiłbym tu patrole konnicy z młodych rekrutów pod dowództwem surowego kapitana), ale przynajmniej nie znoszą konkurencji innych hultajów. Ciągną tędy ludzie wszelkich kast i pokrojów. Spójrz no! Bramini i *chumary*, bankierzy i kotlarze, golibrody i *bunniasi*, pątnicy i garncarze... cały świat snuje się tędy. Wydaje mi się, jakby to była rzeka, z której zostałem wyrzucony jak kłoda po powodzi.

Istotnie wielki gościniec przedstawia ciekawe widowisko. Biegnie jak strzełił i bez natłoku unosi cały ruch Indii na przestrzeni tysiąca pięciuset mil – takiej rzeki życia nie ma drugiej na całym świecie. Jeśli się przyglądać tej długiej smudze nakrytej sklepieniem zieloności i usianej plamkami cieni; jej białe tło było przez całą szerokość nakrapiane gromadkami z wolna wlokącego się ludu, a z przeciwnej strony wznosiła się dwuizbowa wartownia policji.

– Któż to nosi broń na przekór ustawom? – zawołał z jej wnętrza roześmianym głosem policjant, ujrawszy pałasz wiarusa. – Czyż mało policji, by tępić opryszków?

– Kupiłem ją właśnie... przeciwko policji – brzmiała odpowiedź. – Czy wszystko w porządku w Hind (Indiach)?

– Wszystko w porządku, *ressaldar-sahibie* (panie rotmistrzu)!

– Jestem, jak widzicie, niby stary żółw, co to umyka z głową, a potem ją znów na brzeg wystawi. Tak, to jest droga Hindostanu. Wszyscy tędy chodzą...

– A ty, świńskie pomiotło, czy wygodna strona gościńca ma służyć do tego, żebyś tu skrobał się po plecach? Ojciec wszelkich rozpustnic i mężu dziesięciu tysięcy niecnotliwych podwik⁶⁵! Twoja matka zaprzedała się czartu, nastęrczona przez rodzoną matkę! Twoje ciotki nie miały nosów od siedmiu pokoleń! Twoja siostra!... Jaki to głupi ciemiega kazał ci się tarabanić z wozami w poprzek ulicy? Co?... koło złamane? Naści tu jeszcze łeb rozbity i pozbieraj sobie to wszystko wolnym czasem do kupy!

Głos ten wraz ze zjadliwym trzaskiem bicia dobywał się z tumanu kurzawy, o jakie pięćdziesiąt sążni⁶⁶ opodał gdzie leżała złamana fura. Z tej całej bryndzy wystrzeliła jak rakietą smukła klacz katiwarska z rozognionymi chrapami i oczyma, parskając i wierzgając, gdy jeździec zwracał ją w poprzek drogi, w pogoni za wrzeszczącym człowiekiem. Był to mężczyzna rostry, z brodą szpakowatą, siedział na rozhukanym wierzchowcu, jak gdyby tworzył jedno z nim ciało, i wśród jego szczupaków z wielką zręcznością smagał swą ofiarę.

Twarz starego wiarusa zajaśniała dumą.

– Mój syn! – ozwał się zwięźle i usiłował wędzidłem skierować swego kuca w odpowiednią stronę.

– Czyż wolno mnie bić w oczach policji? – jęczał woźnica. – Sprawiedliwości! żądam sprawiedliwości!...

– A czy mnie ma zagradzać drogę jakaś wrzaskliwa małpa,

⁶⁵ *podwika* (daw.) – dziewczyna. [przypis edytorski]

⁶⁶ *sążeń* – daw. miara długości wynosząca w różnych okresach i różnych krajach od 176 do 2,15 m. [przypis edytorski]

która wywała dziesięć tysięcy worków przed nosem mego konia? W ten sposób można klacz znarowić!

– On mówi prawdę, mówi prawdę! Ale też ona trzyma się swego pana! – ozwał się stary wiarus. Woźnica uciekł pod koła swej fury i stąd odgrażał się wszelkiego rodzaju zemstą.

– Ależ to walne chłopcy z twoich synów! – rzekł policjant pogodnie, dłubiąc w zębach. Jeździec wymierzył woźnicy jeszcze jeden bolesny cios i jechał dalej klusa.

– Mój ojciec! – zawołał, ściągając konia cuglami o dziesięć sążni⁶⁷, i zsiadł na ziemię.

Starzec w mig zeskoczył z kucyka i uściskali się tak, jak to zwykli czynić na Wschodzie ojciec i syn.

⁶⁷ *sążeń* – daw. miara długości wynosząca w różnych okresach i różnych krajach od 176 do 2,15 m. [przypis edytorski]

Rozdział IV

*To nie kobieta – bodaj ją trzysta!... —
Lecz najszczęśliwsze pod słońcem babsko!
Harna, wierzgliwa i narowista —
Trudno ujeździć to dzikie szkapsko!
Gdy ją powitasz – huknie na przybysza!
Gdy ją zaczepisz – toś pewien odprawy!
Puść kantem trochę zajadłą zrzędziochę,
To cię jak na złość schwyci za rękawy!*

*Hojności! hojności, o dolo!
Wolno ci dawać lub skąpić!
Chociaż o los się nie troszczę,
Los musi za mną postąpić!...*

Czapeczki czarodziejskie.

Potem jęli rozmawiać przyciszonym głosem. Kim chciał spocząć pod drzewem, ale lama szarpnął go niecierpliwie za rękaw.

– Chodźmy dalej. Tu jeszcze nie ma rzeki.

– Tere-fere! Albośmy to dziś nie odwalili ładnego kawałka drogi? Rzeka nam nie ucieknie. Uzbrój się w cierpliwość, a ten stary nie poskąpi nam jałmużny.

– Ten oto – odezwał się nagle stary rębacz – jest Przyjacielem gwiazd. On to mi wczoraj przyniósł te nowiny. Widział ci on w objawieniu samego wodza naczelnego wydającego rozkazy do

wojny.

– Hm! – rzekł syn głosem wydobyłym aż kędyś ze samego dna rozrósłej piersi. – Pewno usłyszał jakąś plotkę na rynku i chce z niej skorzystać.

Ojciec zaśmiał się.

– W każdym razie nie przyjechał do mnie, by wycygnąć nowego konia i bogi wiedzą, ile rupij. Czy pułki, w których służą twoi bracia, otrzymały też rozkazy?

– Nie wiem. Wziąłem urlop w te pędy i pojechałem do ciebie na wypadek...

– Na wypadek, gdyby tamci ubiegli cię w tej prośbie. Ach, wy kostery i rozrzutniki! Ale tyś jeszcze nigdy nie brał udziału w szarży kawaleryjskiej. Tam potrzeba dobrego konia, a juści! A w marszu też się przyda dobry foryś wraz z dobrym kucem. Zobaczymy... zobaczymy.

Brzęknął w rękojeść pałasza.

– Tu nie miejsce na obrachunki, mój ojczy. Jedźmy do domu.

– To przynajmniej zapłać temu smykowi; nie mam ni *paisa* przy duszy, a on przyniósł mi nader ważne wieści. Hej! Przyjacielu całego świata, jakaś wojna się kroi! Dobrześ przepowiedział.

– Nie, *ta* właśnie wojna, o której mi wiadomo! – odrzekł Kim z zimną krwią.

– He? – ozwał się lama, przebierając palcami po paciorkach i rwąc się całą duszą do drogi.

– Mój mistrz nie naprzykrza się gwiazdom dla zysku.

Przynieśliśmy wieści, to je sprawdzaj; myśmy przynieśli wieść, a teraz idziemy dalej! – i wygiął rękę nieznacznie w bok.

Syn starego wojownika cisnął srebrny pieniądz połyskujący w słońcu i coś tam zrządził na żebraków i kuglarzy. Pieniądz był wart cztery *anny* i mogli się za niego utrzymywać przez kilka dni. Lama widząc połysk kruszcu wygulgotał jakieś błogosławieństwo.

– Idź, kędy droga cię wiedzie, Przyjacielu całego świata! – krzyczał stary wojak, zawracając swego wierzchowca. – Raz przecie w życiu spotkałem prawdziwego proroka... który nie służył w wojsku...

Ojciec i syn razem ruszyli w dalszą drogę; starzec siedział w siodle tak prosto jak młodszy jego towarzysz.

Policjant-Pendżabczyk w żółtych płóciennych szarawarach zerkał z ukosa na drogę. Rzucony pieniądz nie uszedł jego bacności.

– Stój! – krzyknął piorunującą angielszczyzną. – Czy nie wiecie, że ci, którzy wchodzą na trakt z tej bocznej drogi, płacą *takkus* (takse) po dwie *anny* na głowę, co razem daje cztery *anny*? Taki jest rozkaz Sirkaru (rządu Indii), a pieniądze idą na sadzenie drzew i upiększenie dróg...

– ...i brzuchów policji – dodał Kim, dając susa w bok, gdzie go nie mogło dosięgnąć ramię strażnika. – Miejże choć na chwilę rozum w głowie, człowiecze, a nie kielbie we łbie! Czy sobie myślisz, żeśmy wyleźli z najbliższej kałuży jak ropucha, twoja teściowa? Czy słyszałeś kiedy o swym bracie?...

– No, kimże on był? Dajże chłopakowi święty spokój! – krzyknął starszy policjant, wielce ubawiony, przysiadłszy na ganku, by wypalić fajkę.

– Odkleił etykietę z butelki *belaittee-pani* (wody sodowej) i wywiesiwszy ją na moście pobierał przez cały miesiąc rogatkowe od przechodniów, mówiąc, że taki jest rozkaz Sirkaru. Aż na koniec przyszedł jakiś Anglik i rozbił mu łeb. Hoho, brachu! Jestem ci ptaszek z miasta, nie jakowyś gawron wiejski!

Policjant cofnął się ze wstydem, a Kim hukał i pogwizdywał za nim przez całą drogę.

– Czy był kiedy taki żak jak ja? – zawołał wesoło do lamy. – Obdarto by cię do kości już o dziesięć mil od miasta Lahory, gdybym nie czuwał nad tobą.

– Sam nad tym nieraz się zastanawiam, czy nie jesteś czasem duchem, a niekiedy złośliwym chochlikiem – ozwał się lama z lekkim uśmiechem.

– Jestem twym *chela* – i rzekłszy to, Kim ruszył wraz z nim krokami posuwistymi, owym niedającym się opisać chodem człapiącym i stukliwym, cechującym tych, co zesłi kawał świata.

– No, chodźmy, chodźmy – burknął lama i w takt pobrząkiwania jego różańca szli w milczeniu milę za milą. Lama, jak zwykle, był pogrążony w rozmyślaniach, natomiast jasne oczy Kima były szeroko otwarte. Ta szeroka, roześmiana rzeka życia (myślał sobie) była czymś niezmiernie doskonałym wobec wykoślawionych i tłocznych ulic Lahory. Na każdym kroku zjawiały mu się nowe widoki i nowi ludzie... typy, jakie znał, i

kasty, jakie po raz pierwszy w życiu zdarzyło mu się widzieć.

Spotkali czeredę długowłosych, srodze cuchnących Sansisów, którzy na plecach dźwigali kosze jaszczurek i innej nieczystej strawy; chude psiska obwąchiwały im pięty. Ci ludzie trzymali się tylko jednej strony ulicy, posuwając się szybko i niepewnie, jakby ukradkiem, a inne kasty omijały ich z daleka, bo zetknięcie z Sansisem uważa się za splugawienie. Za nimi, szeroko powłócząc drętowymi girami, snadź nie wyzbywszy się jeszcze wspomnienia kajdan, kroczył jakiś człek, świeżo wypuszczony z więzienia; zaokrąglony brzusek i świecąca cera świadczyły, że rząd żywi więźniów lepiej, aniżeli mogą się sami na własny koszt odżywiać najuczciwsi ludzie. Kim znał dobrze ten chód i przedrzeźniał go, gdy mijali tego człowieka. Następnie pysznym krokiem przeszedł koło nich *akali*, świętoszek sikhijski o mierzwiastych włosach i dzikim wejrzeniu, odziany na znak swej wiary w długą szatę w niebieskie kratki, a na stożku wysokiego, błękitnego turbanu lśniły mu krążki polerowanej stali; wracał z gościny w jednym z niezawisłych państwewek sikhijskich⁶⁸, gdzie śpiewał starodawną chwałę *Khalsy* książątkom wychowanym w wyższej uczelni, a noszącym buty z cholewkami i sznurowane pludry. Kim wystrzegał się, by nie podrażnić owego człowieka, bo *akali* ma usposobienie gwałtowne i prędkie ramię. Tu i owdzie natknęły się na nich, ba, czasem i zagarnęły ze sobą,

⁶⁸ *sikhowie* – odłam Hindusów [tj. hinduizmu; red. WL], tworzący sektę monoteistyczną założoną w Pendżabie około r. 1500; część ich została w r. 1849 przyłączona do Indii angielskich. [przypis tłumacza]

pstrokato przyodziane gromady z całych wiosek, zdążające na jakiś kiermasz w okolicy; kobiety z nieletnią działywą u boku szły za mężami, starsi chłopcy harcowali jak na koniach na prętach trzciny cukrowej, wlekli za sobą niezgrabne parowoziki miedziane, jakie sprzedają za pół pensa, lub z małych tandetnych lusterek puszczały starszym w oczy bastówki świetlne. Na pierwszy rzut oka postrzec można było, co kto kupił, a gdyby były jakieś wątpliwości, dość było przyjrzeć się kobietom, które, przytykając wzajem jedna drugiej brązowe ramiona, porównywały świeżo nabyte bransolety z dymnego szkła, sprowadzane z północnego wschodu. Wszyscy ci weseli kumowie i kumoszki szli noga za nogą, nawołując się wzajemnie, stając, by wytargować się z piernikarzami lub zmówić pacierz przed jedną z kapliczek przydrożnych – czasem hinduską, czasem mużulmańską – którymi ze wzorową bezstronnością dzieli się pomiędzy sobą ludzie prości obu wyznań. Jednolita smuga błękitna, to wznosząc się, to opadając, niby obły grzbiet pełzającej szybko gąsienicy, wynurzała się z drgającego pyłu i mijała ich wśród rozhoworu i żwawych chichotań. Był to zastęp *changarek* – kobiet, które wzięły na siebie umacnianie wszelkich nasypów i grobel na kolejach północnych, w modre spódnice przyodziany cech robotnic ziemnych o płaskich stopach, wydatnych piersiach i potężnych odnóżach, śpieszący na północ, w poszukiwaniu zarobku i nigdy nietracący czasu w drodze. Należą do kasty, która nie liczy się z ludźmi, więc szły, potracając przechodniów łokciami, kołysząc się w

biodrach i zadzierając głowy do góry, jak przystało kobietom dźwigającym wielkie ciężary. Nieco później na wielki trakt wkraczał orszak weselny z muzyką i hukaniem, a woń kaczeńców i jaśminu była mocniejsza nawet od swędu kurzawy. Można było dostrzec lektykę panny młodej – pstrokacizną szychu i czerwieni, kołyszącą się skroś tumanu, gdy równocześnie przybrany wieńcami kucyk pana młodego zwracał się w bok, by uszczknąć wiązkę z mijającego ich wozu z sianem. Wówczas Kim przyłączał się do burzy oklasków, powinszowań i pustackich żartów, życząc młodej parze, jak to mówią, stu synów i ani jednej córki. Jeszcze większe bywało zaciekawienie i większa zrywała się wrzawa, gdy wędrowny kuglarz z półoswojonymi małpami czy dychawicznym niedźwiedziem albo też kobieta z przywiązanymi do nóg rogami kozłimi, tańcząca na linie, budzili popłoch wśród koni a wśród bab długie, przeciągłe trele podziwu.

Lama ani razu nie podniósł oczu. Nie zauważył lichwiarza, co śpieszył na krótkoogoniastym kucyku, by gromadzić krwawe zyski; ani gromadki urlopowanych żołnierzy krajowców, idących jeszcze w szyku wojskowym a pokrzykujących przeciągle na całe gardło z radości, że się pozbyli już bryczesów i *puttee* (owijaków), i beczelnie zaczepiających najczcigodniejsze niewiasty. Nie widział nawet sprzedawcy wody gangesowej, choć Kim spodziewał się, że jego towarzysz kupi przynajmniej butelkę tego drogiego płynu. Starzec patrzył uporczywie w ziemię kroczył tak bez ustanku godzinę za godziną – snadź dusza jego czymś była zajęta. Atoli Kim był z radości w

siódmym niebie. Wielki trakt był w tym miejscu zbudowany na nasypie, celem zabezpieczenia przed zimowymi wylewami ze wzgórz, tak iż szło się niejako wspaniałym korytarzem ponad okolicą, widząc całą krainę indyjską rozpostartą z obu stron. Miło było spoglądać na wielosprężne furgony ze zbożem i bawełną, wlokące się po chłopskich drogach; słysząc było ich osie skwirczące na milę, coraz to bliżej, aż wreszcie same wozy, wśród krzyków, jazgotów, złorzeczeń i wzajemnej besztaniny woźniców, gramoliły się po stromej pochyłości i wyłaniały się na bitym torze środkowym. Równie miło było przyglądać się ludziom – małym bryłkom czerwonym, błękitnym, różowym, białym i szafranowym, zbaczającym w stronę swych wiosek, rozpraszającym się po dwóch i trzech i coraz to malejącym na gładkiej równinie. Kim odczuwał piękno w tym wszystkim, ale i nie umiał wyjęzyczyć swych uczuć, więc poprzestał na kupieniu obłuskanej trzciny cukrowej i hojnym wypluwaniu jej miąższu przez całą drogę. Od czasu do czasu lama zażywał tabaki. Na koniec to milczenie zaczęło Kimowi ciążyć nieznośnie.

– To ładny kraj... ta kraina południa! – przemówił. – Powietrze tu dobre, woda dobra... Hę?

– A oni wszyscy uwiązani do kołowrotu żywotów – rzekł lama. – Uwiązani w tym życiu i przyszłym. Żadnemu z nich nie pokazano Drogi! – otrząsnął się z zadumy, wracając na ten świat.

– Odbyliśmy już ciężką drogę – rzekł Kim. – Chyba niedługo zajdziemy do *parao* (na popas). Może się zatrzymamy? Patrz, już słońko się nachyliło.

– Kto nas dziś przyjmie na noc?

– To obojętne. W tej okolicy nie brak dobrych ludzi. Zresztą

– (tu zniżył głos, domawiając szeptem) – mamy forszę!

Cizba na drodze robiła się coraz większa, w miarę jak zbliżali się do miejsca popasu, które stanowiło kres ich całodziennego podróży. Rząd klitek, gdzie sprzedaje się niewykwintnie wiktuały i tytoń; za nimi sąg drzewa opałowego, wartownia policyjna, studnia z korytem do wodopoju, kilka drzewek, a pod nimi wydeptane boisko, nakrapiane tu i owdzie szerniałymi zgłiszczami starej watry oto wszystko, czym poszczycić się może *parao* na wielkim trakcie, jeżeli się wyłączy żebraków i wrony... jednakowo zgłodniałe.

Tymczasem słońce jęło już przeszywać szerokimi promieniami złotolitymi niższe gałęzie drzew mangowych; papużki i gołębie setkami wracały na gniazda; swarliwe wrony o szarych grzbietach, gwarzac o wypadkach dnia, snuły się po dwie lub trzy tuż prawie pod stopami podróżnych, a wielkie szurum-burum wśród konarów wskazywało na to, że nietoperze gotowały się już do nocnej wyprawy. Potem światło skupiło się w sobie i na chwilę ubarwiło twarze ludzkie, koła wozów i rogi byczków. Niebawem zapadła noc, wionąc odmiennym powiewem, rozsnuwając po całej okolicy przyziemną, płaską mgłę, ni to błękitnawy całun pajęczyny, i roznosząc ostrą i wyrazistą woń dymu drzewnego i nawozu oraz miły zapach placków pieczonych w popiele. Z wartowni policyjnej wyruszył patrol wieczorny wśród znaczących pochrząkiwań i powtarzania

rozkazów. Kawalek węgla drzewnego w fajce przydrożnego woźnicy jarzył się krwawo, a Kim bezmyślnie przyglądał się ostatnim odbłyskom słońca na mosiężnych szczypczykach.

Życie w *parao* bardzo przypomniało w pomniejszeniu tryb życia w Seraju Kaszmirskim. Kim pograżył się z głową w niefrasobliwym bałaganie azjatyckim, który, o ile na to komu czas pozwoli, może człowiekowi małych wymagań zapewnić wszystko, co potrzeba.

Jego wymagania były niewielkie, jako że lama nie uznawał żadnych zastrzeżeń kastowych i można by poprzestać na gotowanej strawie z najbliższego kramiku, ale Kim dla zbytku kupił garść mierzwy, by rozniecić watrę. Wszędzie dokoła krzątający się przy małych ogniskach ludkowie krzykiem domagali się to oliwy, to zboża, to łakoci, to tytoniu, szturchając się wzajemnie w oczekiwaniu swej kolei u studni, a pośród głosów męskich słychać było z przysłoniętych, stojących wozów cienkie piski i chichoty kobiet, którym na miejscach publicznych nie wolno ukazywać twarzy.

Obecnie wykształceni krajowcy są zdania, że gdy ich niewiasty podróżują – a mają one dużo do zwiedzania – to lepiej przewozić je prędko koleją w specjalnych przedziałach; ten zwyczaj coraz bardziej się rozpowszechnia. Zawsze jednak trafiają się ludzie starej daty, którzy trzymają się obyczaju przodków; nade wszystko stare kobiety – bardziej zatwardziałe od mężczyzn – na schyłku swych dni udają się w pielgrzymkę. Te, wyniszczone już i niepowabne, w pewnych

okolicznościach nie sprzeciwiają się odsłanianiu twarzy. Po długim odosobnieniu, podczas którego zawsze miały styczność z tysiącem spraw pozadomowych, lubią ruch i gwar na otwartej drodze, gromadzenie się przy kapliczkach i nieskończenie liczne sposobności plotkowania z im podobnymi kumoszkami. Bardzo często na rękę to bywa długo nękanej rodzinie, że długojęzyczna, stara herod-baba, matka rodziny, przewietrzy się w ten sposób po Indiach; albowiem pielgrzymki na pewno miłe są bogom. Przeto w całych Indiach, w najbardziej zapadłych dziurach jak i w najbardziej rojnych skupiskach ludzkich, można nadybać gromadkę przysiwiałych sług, rzekomo na rozkazach sędziwej matrony, która jest mniej lub więcej zasłonięta i schowana w wozie, zaprzężonym w byczki. Tacy ludzie są bardzo stateczni i dyskretni, a gdy zbliża się Europejczyk lub człowiek wyższej kasty, wypełniają swe obowiązki z największą ostrożnością; atoli w zwykłych, doraźnych okolicznościach taka ostrożność nie obowiązuje. Stara niewiasta jest, bądź co bądź, w każdym calu człowiekiem i lubi przyglądać się życiu.

Kimowi wpadł w oko jaskrawo przystrojony *ruth*, czyli wóz rodzinny, ciągnięty przez woły, a nakryty haftowanym baldachimem o dwóch kopułach, podobnym do dwugarbnego wielbłąda; wóz ów właśnie zajeżdżał do *parao*. Ośmiu ludzi tworzyło jego poczet, a dwaj z nich byli uzbrojeni zardzewiałymi szablami – znak to niezawodny, że towarzyszyli jakiejś wybitnej osobistości, gdyż gmin nie nosi broni. Zza kotar dobywał się rosnący zgiełk narzekania, rozkazów, żartów i słów, które

Europejczyk nazwałby obelżywymi. Była tam widocznie kobieta nawykła do rozkazywania.

Kim krytycznym wzrokiem przyglądał się tej drużynie. Połowę z nich stanowili siwobrodzi Oriasi z nizin, o nogach jak tyczki; drugą zaś górale z północy, odziani w wełniane gunie i pilśniowe kapelusze. Ta mieszanina starczyła Kimowi za całą opowieść o tych ludziach, nawet gdyby nie słyszał nieustannego czubienia się obu oddziałów. Stara jejmość jechała na południe w odwiedziny – zapewne do bogatego krewniaka, najprawdopodobniej do swego teścia, który wysłał eskortę na znak uszanowania. Górale musieli być jej własnymi ludźmi – z plemienia Kulu lub Kangra. Było rzeczą najzupełniej jasną, że nie wiozła córki do ślubu, bo w takim razie kotary byłyby pozaciągane, a strażnik nie pozwoliłby nikomu podejść bliżej ku wozowi.

„Jakaś wesola i rogata dama!” – pomyślał sobie Kim, wymachując krowim łajnem w jednej ręce a gotowanym jadłem w drugiej i skierowując łamę w tę stronę lekkim szturchnięciem ramienia. Z tego spotkania można było coś niecoś skorzystać. Lama wprawdzie nie mógł mu niczym dopomóc, ale Kim, jako świadom rzeczy *chela*, chętnie zebrał za dwóch.

Rozłożył ognisko, ile można, najbliżej wozu, czekając, by ktoś z eskorty kazał mu się oddalić. Lama osunął się ciężko na ziemię, tak jak opada owocożerny nietoperz, i powrócił do różańca.

– Odknaj dalej, dziadu! – wrzasnął jeden z górali tonem rozkazującym w łamanej gwarze hindostańskiej.

– Eech! To ino *pahari* (góral)! – ozwał się Kim, obejrzawszy się przez ramię. – Odkąd to osły górskie wzięły Hindostan w posiadanie?

Odpowiedzią na to był żywy i barwny opis rodowodu Kima od trzech pokoleń.

– Ach! – ozwał się Kim głosem niebywale słodkim, krusząc nawóz na drobne kawałki. – W *moim* kraju nazywa się to początkiem gruchania miłosnego.

Szorstkie, piskliwe szwargotanie za kotarami podbechtało górala do nowej napaści.

– Nie tak ostro nie tak ostro! – rzekł Kim spokojnie. – Miej się, brachu, na ostrożności, bo i my, *my*, powiadam, gotowiśmy ci się odpłacić przekleństwem lub czymś podobnym. A nasze przekleństwa potrafią być bardzo jadowite.

Oriasi zaśmiali się: góral skoczył groźnie naprzód, lama podniósł znienacka głowę, wystawiając swój ogromny, sukienny kapelusz na jasny odbłask ogniska, świeżo roznieconego przez Kima.

– Co takiego? – przemówił.

Góral zatrzymał się jak skamieniały.

– Ja... ja... zostałem wybawiony od wielkiego grzechu – wyjąkał.

– Cudzoziemiec nareszcie poznał w nim kapłana – szepnął jeden z Oriasów.

– Hej! Czemu nie objecie, jak się należy, tego żebraczego pomiotła? – krzyczała stara jejmość.

Góral powrócił do wozu i szepnął coś przez kotarę. Nastąpiło głucho milczenie, a potem pomruk.

„Klawo się nam powodzi!” – myślał Kim, udając, że nic nie widzi ani nie słyszy.

– Kiedy... kiedy... on się pożywi – łasił się góral Kimowi – to... proszę, by mąż święty raczył porozmawiać z osobą, która pragnie jego rozmowy.

– Gdy mąż święty spożyje wieczerzę, położy się spać – odparł Kim czupurnie; nie wiedział, jaki nowy obrót wzięła sprawa, lecz uwziął się, że wyciągnie z niej korzyść. – A teraz postaram się o jedzenie dla niego.

Ostatnie zdanie, wypowiedziane głośno, zakończyło się westchnieniem – niby wskutek zmęczenia.

– Ja... ja sam i inni moi ziomkowie zajmiemy się tym... jeżeli pozwolicie...

– Pozwalamy – rzekł Kim jeszcze butniej. – O święty mężu, ci ludzie chcą tobie przynieść jadło.

– To dobry kraj... cały kraj południowy jest dobry... świat wielki i straszny... – bełkotał lama na wpół sennie.

– Daj mu spać – rzekł Kim – lecz postaraj się o to, żebyśmy byli dobrze nakarmieni po jego przebudzeniu. To jest człek ogromnej świętości.

Znów jeden z Oriasów burknął jakieś pogardliwe określenie.

– To nie fakir; to nie żebrak z nizin – mówił Kim surowo, zwracając się ku gwiazdom. – To najświętszy z świętych. On jest ponad wszelkimi kastami. Ja jestem jego *chela*.

– Chodź no tu! – odezwał się przyciszony, cienki głos za kotarą. Kim poszedł, świadom tego, że oczy, których nie mógł dostrzec, były weń wlepione. Jakiś wychudły, brunatny palec, pokryty grubymi pierścieniami, spoczywał na krawędzi wozu. Taki był przebieg rozmowy:

– Kto jest ów człek?

– Człek nadzwyczaj świątobliwy. Przybywa z daleka, aż z Tybetu.

– Z jakich okolic Tybetu?

– Spoza śniegów... z miejscowości bardzo odległej. Zna się na gwiazdach, stawia horoskopy i odczytuje dni urodzin. Ale nie robi tego za pieniądze. Czyni to z dobroci wielkiego miłosierdzia. Ja jestem jego uczniem. Nazywają mnie też Przyjacielem gwiazd.

– Ty nie jesteś góralem?

– Jego zapytaj, a powie ci, że byłem zesłany mu z gwiazd, abym pokazał mu kres pielgrzymki.

– Phhii! Pamiętaj, skurczybyku, że jestem kobietą starą i do tego wcale nie głupią. Znam lamów i darzę ich szacunkiem, lecz ty tak jesteś jego prawowitym *chela*, jak ten mój palec mógłby być dyszlem tego wozu. Jesteś Hindusem, bez kasty, zuchwałym i bezwstydnym żebrakiem, który pono⁶⁹ dla zysku przyczepił się do świętego człowieka.

– Czyż my wszyscy nie pracujemy dla zysku? – Kim zmienił natychmiast ton, dostrajając się do toku rozmowy. – Słyszałem...

⁶⁹ *pono* – podobno, prawdopodobnie; tu: zapewne. [przypis edytorski]

– (było to napięcie łuku na ośle) – słyszałem...

– Cóżeś słyszał? – fuknęła, stukając palcem.

– Dobrze nie pamiętam... były to takie sobie plotki jarmarczne, zapewne kłamliwe... że nawet radżowie... drobni radżowie górscy...

– Ale nie ci, co pochodzą z zacnej krwi Radżputów⁷⁰...

– Właśnie, że z dobrej krwi... Oni podobno dla zysku sprzedają nawet piękniejsze ze swych kobiet. Sprzedają je na południe... *zemindarom* (obszarnikom) i tym podobnym ludziom z Oudh.

Nie ma w świecie rzeczy, której by tak starali się zaprzeczyć drobni radżowie górscy, jak tej właśnie obmowie; atoli tak się składa, że jedynie te zarzuty znajdują posłuch u ludzi, gdy na rynku poczną rozprawiać o tajemniczym handlu niewolnikami w Indiach. Stara jejmość dobitnym i pogardliwym sykiem oznajmiła Kimowi aż nadto wyraźnie, jakiego pokroju i w jakiej mierze był kłamcą. Gdyby był pisał jej coś podobnego, gdy była panną, byłby tego samego wieczora zmiażdżony przez słonia. To święta prawda!

– Ojej! Rety! Jestem tylko pomiotłem żebraczym, jak się wyraziła Żrenica piękności! – zajęczał Kim z przesadnym strachem.

– Żrenica piękności! Widzicie go! Kimże ja jestem, że obsypujesz mnie żebrackimi pochlebstwami? – Mimo to śmiała

⁷⁰ *Radżputowie* – rycerska kasta hinduska, szczycąca się pochodzeniem od Ksiastriasów (wojowników). [przypis tłumacza]

się z dawno niesłyszanego słowa. – Czterdzieści lat temu można było to powiedzieć i nie bez słuszności... ba, nawet przed trzydziestu laty. Ale oto skutki tego włóczenia się tam i z powrotem po całych Indiach. Wdowa po królu musi się ocierać o wszelkie szumowiny tego kraju i narażać się na drwiny żebraków!

– Wielka królowo – rzekł Kim pośpiesznie, gdyż słyszał, jak trzęsła się z oburzenia – ja sam jestem choćby i tym, czym mnie nazywa Wasza Królewska Mość, niemniej jednak mój mistrz jest człowiekiem świętym. On jeszcze nie słyszał rozkazu Wielkiej Królowej, ażeby...

– Rozkazu? Ja miałabym rozkazywać człowiekowi świętemu... nauczycielowi prawa... ażeby przyszedł i rozmawiał z kobietą?... Nigdy!

– Wybacz mej głupocie. Myślałem, że był to rozkaz...

– Nie... to była prośba... Czyż to nie wyjaśnia wszystkiego?

Srebrny pieniądz zadzwonił o krawędź wozu. Kim podniósł go i złożył głęboki *salaam* (pokłon wschodni). Stara jejmość poznała, że należało go sobie zjednać, jako tego, co był wzrokiem i słuchem lamy.

– Jestem tylko sługą świętego. Gdy on już się posili, może przyjdzie.

– O ty łajdaku i beczelny francie! – Palec ozdobiony klejnotami pogroził karcąco w jego stronę; ale chłopak dosłyszał chichot starej damy.

– No, o cóż chodzi? – ozwał się, przechodząc w ton

najbardziej uprzejmy i poufały, któremu, jak wiedział, mało kto mógł się oprzeć. – Czy... czy w rodzinie nie potrzeba syna... Mów śmiało, bo my kapłani... – Ostatnie zdanie było dosłownie ściągnięte z ust fakirów koło bramy taksalskiej.

– My kapłani! Jeszcześ nie dorósł do tego, żeby... – przerwała dowcip nowym wybuchem śmiechu. – Wierz mi, o kapłanie, że my, kobiety, niekiedy myślimy o czym innym niż o synach. Zresztą, moja córka już wydała na świat męskiego potomka.

– Dwie strzały w sajdaku lepsze od jednej, a trzy jeszcze lepsze! – Kim przytoczył to przysłowie, kaszląc znacząco i patrząc dyskretnie w ziemię.

– Juści, prawda!... prawda! Ale może i do tego dojdzie. Pewno, że ci bramini z nizin są zgoła psa warci. Posyłałam im dary i pieniądze i znów dary, a oni prorokowali...

– Ach! *Prorokowali!*... – wycedził Kim z nieopisaną wzgardą; nie uczyniłby tego lepiej zawodowy wróżbita.

– I modły moje nie były wysłuchane, póki sobie nie przypomniałam o swoich bóstwach. Wybrałam dobrą godzinę i... może twój święty słyszał o przełożonym klasztoru w Lung-Cho? Do niego to zwróciłam się w tej sprawie i oto w oznaczonym czasie wszystko stało się, jakem sobie życzyła. Bramin w domu ojca mego zięcia mówił odtąd, że stało się to dzięki jego modlitwom... ale to mała pomyłka, którą mu wyjaśnię, skoro dojdziemy do kresu podróży... A potem udam się do Buddh Gaya, by odbyć *shraddha* za ojca mych dzieci.

– I my tam idziemy.

– W dwójnasób dobra wróżba – szczebiotała stara jejmość. – Co najmniej drugi syn!

– O Przyjacielu całego świata! – To lama się obudził i dobroduszenie niby dziecko, czując się nieswojo w obcym łóżku, zawołał na Kima.

– Idę już, idę, o święty! – rzekł chłopak i prysnął w stronę ogniska, gdzie zastał lamę, otoczonego już półmiskami z jadłem; górale okazywali mu wprost uwielbienie, natomiast południowcy spoglądali nań kwaśno.

– Wynocha! Usuńcie się! – krzyczał Kim. – Czyż mamy jeść na widoku wszystkich jak psy?

W milczeniu spożyli wieczerzę, nieco odwróciwszy się od siebie, a Kim uwieńczył ją papierosem krajowego i wyrobu.

– Czyż nie mówiłem po sto razy, że południe to dobry kraj? Oto tu przebywa cnotliwa i szlachetnie urodzona wdowa radży górskiego, udając się, jak mówi, w pielgrzymkę do Buddh Gaya. Ona to przysyła nam te potrawy, a kiedy sobie dobrze wypoczniesz, chciałaby z tobą porozmawiać.

– Czy i to jest twoim dziełem? – zapytał lama, grzebiąc głęboko w tabakierze.

– A któż jak nie ja, czuwał nad tobą od początku cudownej podróży? – Kim aż przewrócił oczyma, wypuszczając nosem cuchnący dym i rozwalając się na zapylonej ziemi. – Czyż omieszkalem⁷¹ starać się o twe wygodę, święty?

– Błogosławię cię za to – lama pochylił z namaszczeniem

⁷¹ *omieszkąć* – zaniechać czego; przestać coś robić. [przypis edytorski]

głowę. – Znałem wielu ludzi w ciągu mego żywota, a uczniów też nie mało. Ale do żadnego z ludzi (o ile ciebie zrodziła kobieta) serce me nie przywiązało się tak, jak do ciebie... jesteś pomysłowy, rozgarnięty i gracki, choć jest w tobie i coś z diablika.

– Ja też nigdy nie widziałem takiego kapłana jak ty! – Kim przyglądał się uważnie każdej kolejno zmarszczce na tej żółtej, dobrotliwej twarzy. – Jeszcze nie ma trzech dni, jak razem wędrujemy, a zdaje się, jakby to już sto lat zbiegło.

– Może w życiu poprzednim dane mi było wyświadczyć ci jakąś przysługę. Może – (uśmiechnął się) – uwolniłem cię z samolówki albo też schwytawszy cię na haczyk, wówczas kiedym jeszcze nie był oświecony, wrzuciłem cię z powrotem do rzeki.

– Być może – rzekł Kim spokojnie. O tego rodzaju teoriach słychiwał⁷² niejednokrotnie z ust ludzi, których Anglicy nie uważaliby za urojeńców. – A teraz, co się tyczy tej kobiety w kibitce bawolej, *ja* sędzę, że ona pragnie drugiego syna dla swej córki.

– To nie ma związku z Drogą! – westchnął lama. – Ale, bądź co bądź, ona pochodzi z gór... Ach, góry!... i śnieg na górach!...

Powstał i majestatycznie podszedł ku kibitce. Kim oddałby wiele za to, by mógł również pójść i posłuchać, ale lama nie poprosił go z sobą, a nieliczne słowa, jakie chłopak zdołał uchwycić, były wypowiedziane w niezrozumiałym języku –

⁷² *słychiwać* – forma cz. przesz. czasownika dotycząca czynności powtarzanej; dziś tylko: słyszał (wielokrotnie). [przypis edytorski]

albowiem rozmawiali jakąś gminną gwarą góralską. Kobieta, jak się zdaje, zadawała pytania, nad którymi lama zastanawiał się długo, zanim odpowiedział. Od czasu do czasu doleciało jakieś pęk-brzdęk rytmicznych wersetów chińskich. Osobliwy to był widok, który Kim obserwował przez przymrużone powieki. Lama, nadzwyczaj sztywny i wyprostowany – tak iż głębokie fałdy jego żółtej odzieży rysowały się czarnymi kresami w blasku ognisk *parao*, zupełnie jak sękaty pień drzewa przekreślają cienie padające od słońca w zenicie – przemawiał do brokatowego i lakierowanego *ruth*, które w tymże niepewnym oświetleniu połyskiwało niby różnobarwny klejnot. Desenie na złotem wyszywanych kotarach to biegły w górę, to w dół, zlewając się z sobą i przekształcając, w miarę jak ich zagięcia łopotały lub drżały na wietrze; gdy zaś rozmowa stawiała się poważniejsza, ubrylancony palec rozsiewał drobne iskierki pomiędzy haftami. Za wozem wznosił się zwał niewyraźnej pomroki, nakrapiany maluchnymi ognikami i ożywiony na wpół uchwytnymi postaciami, twarzami, cieniami. Odgłosy przedwieczera stłumiły się w jednolity, kołyszący szmer, którego najniższą nutą było ustawiczne trykanie się byczków na zdeptanej ściółce, a najwyższym tonem brzęczenie *sitary* jakiejś taneczniczki bengalskiej. Mężczyźni, podjadłszy sobie, przeważnie zaciągali się głęboko dymem z bulgoczących i charkotliwych *hookak*, które podczas pełnego wdechu rechotały jak żaby-kumki.

Na koniec lama powrócił. Za nim szedł góral, niosąc

watowaną kołdrę bawełnianą, którą troskliwie rozścielił koło ogniska.

„Ona zasługuje na dziesięć tysięcy dzieci – myślał Kim. – Bądź co bądź, gdyby nie ja, nie spadłby nam tu żaden z tych podarków”.

– Cnotliwa niewiasta... no, i mądra – mówił lama, układając się z wolna do spoczynku niby ociężały wielbłąd. – Świat jest pełen dobroci dla tych, co kroczą Drogą wybawienia.

Przerzucił większą część kołdry na Kima.

– A cóż ona mówiła? – pytał Kim, otulając się swoją częścią kołdry.

– Zadawała mi wiele pytań i prosiła o rozwiązanie wielu zagadnień... były to przeważnie bzdurne bajania, jakich się nasłuchiwała od zaprzędanych czartu kapłanów, co to udają, iż kroczą Drogą wybawienia. Na niektóre odpowiedziałem, a niektóre określiłem jako niedorzeczne. Wielu ludzi nosi szaty kapłańskie, lecz niewielu trzyma się Drogi.

– Prawda! Tak, to prawda! – Kim użył roztropnego tonu pojednawczego, jakiego używają ci, którzy chcą z kogoś wydobyć zwierzenia.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.